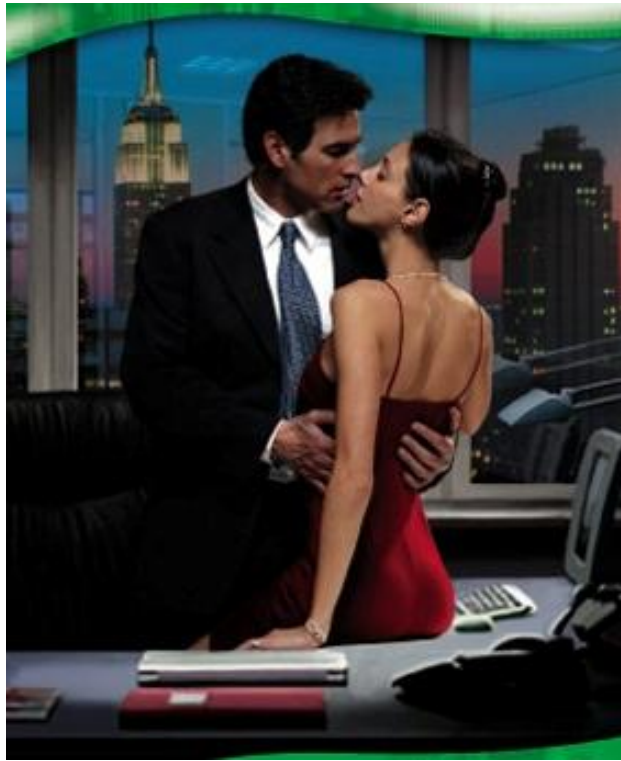




# *Anne McAllister*



# *Žona z Honolulu*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

- Szefie, pani Antonides do ciebie.

Peter Antonides z niechęcią spojrział na swoją asystentkę Rosie, stojącą w drzwiach. Bolała go głowa, cały dzień był do niczego, a tu jeszcze rodzinna wizyta.

Jako numer jeden w Antonides Marine od czasu, gdy jego brat Elias odszedł, by zająć się innymi sprawami, Peter był przyzwyczajony do złych dni. Zresztą wszedł do firmy dość chętnie, chociaż wiedział, co go czeka. I, co dziwne, lubił tę pracę.

Ale zdarzały się dni - jak dziś - kiedy wszystko szło źle. Dostawcy zawodzili, transportowane towary gdzieś się zapodziały, klimatyzacja w budynku od rana nie działała, a na dodatek jego ojciec, Eolus, zadzwonił i powiedział, że wraca dziś z Aten i przywozi ze sobą gości.

- Ariego i Sophie Cristopolousów, i ich córkę Constantinę. Piękna dziewczyna, mądra. I wolna. Marzy o tym, by cię poznać. Spodziewamy się ciebie w domu na weekend.

O subtelność ojca na pewno nie można by oskarżać. Ciągłe próbował od nowa, chociaż wiedział - słyszał to od syna wystarczająco wiele razy - że Peter nie jest wolny.

Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była rodzinna wizyta.

Rosie nadal stała w drzwiach.

- To babcia?

- Nie.

- Mama, bratowa?

- Też nie.

- No to już nie wiem kto. Nie znam żadnej innej pani Antonides - rzucił Peter z irytacją.

- Ciekawe. Bo ona mówi, że jest twoją żoną.

- Pani... Antonides?

Przez chwilę Ally nie zareagowała na to nazwisko. Po prostu dalej siedziała i niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w rozłożone na kolanach czasopismo.

- Pani Antonides. - Głos był bardziej stanowczy.

Podskoczyła. Uświadomiła sobie, że sekretarka mówi do niej.

- Przepraszam. Ja... - modliłam się, by wszystko poszło dobrze, chciała powiedzieć - zamyśliłam się.

- Pan Antonides przyjmie panią teraz.

- Dziękuję. - Zamknęła pismo, obdarzyła sekretarkę swoim najlepszym chłodnym, profesjonalnym uśmiechem i ruszyła do otwartych drzwi.

Za biurkiem stał wysoki, szczupły mężczyzna. Mężczyzna, którego kiedyś poślubiła.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Potem zamknęła drzwi i przybrała najradośniejszy uśmiech, na jaki ją było stać.

- Witaj, Peter.

Postąpił jeden krok do przodu, potem nagle się zatrzymał, wsadził ręce do kieszeni.

- Al. - Zawsze tak ją nazywał.

Głos lekko mu drżał.

- Alice - poprawiła stanowczo. - Albo Ally, jeżeli tak wolisz.

Nie odpowiedział, pozostawiając piłkę po jej stronie boiska.

- Pewnie się zdziwiłeś na mój widok - dodała wesoło.

- No tak, powiedzmy, że nie figurowałaś na liście pań Antonides, których mógłbym się spodziewać.

Ally pragnęła rzucić mu się w ramiona, ale od razu zorientowała się, że to nie byłby dobry pomysł. A nadzieja, że znowu staną się dobrymi kumplami, rozviała się.

- Nie powinnam była tego robić - powiedziała przepraszająco. - To znaczy, nie powinnam była użyć twojego nazwiska. Nigdy go nie używam. Ja po prostu... domyślałam się, jak bardzo jesteś zajęty, będąc i prezesem, i dyrektorem. Obawiałam się, że inaczej nie uda mi się z tobą zobaczyć.

- Nie jestem papieżem. Nie musisz błagać o audiencję.

- Skąd mogłam wiedzieć? - Nie lubiła być w defensywie. - To... -  
Wskazała ręką pokój z solidnymi tekowymi meblami i oknami wychodzącymi na East River i słynny widok wieżowców Manhattanu. - Nie takiego cię pamiętam.

Może i nie był to Watykan, ale także nie maleńkie mieszkanie nad garażem pani Czang.

Peter wzruszył ramionami.

- Minęły całe lata, Al. Wszystko się zmienia. Ty się zmieniłaś. Dorosłaś. Wyrobiłaś sobie nazwisko, prawda?

W jego głosie wyczuła wyzwanie. Zaciśnęła zęby, ale musiała mu przyznać rację.

- Tak.

Zmusiła się, by stać nieruchomo pod jego taksującym spojrzeniem. Nie spieszył się. Przesuwał wzrokiem od jej stóp do głowy.

- Bardzo ładnie. - Kącik jego ust uniósł się w chłodnym uśmiechu. - Ja też się zmieniłem - dodał, jakby sama tego nie zauważyła.

- Kupiłeś sobie krawat.

- Nawet dwa.

- I garnitur.

- To kara za moje grzechy.

- Dobrze sobie radzisz.

- Al, ja zawsze dobrze sobie radziłem - powiedział swobodnie. Obszedł biurko, a ona odczuła presję jego bliskości. - Nawet wtedy, gdy byłem chłopakiem z plaży.

Trudno było sobie teraz wyobrazić tego mężczyznę jako „chłopaka z plaży”, ale wiedziała, co ma na myśli. Tamtego Petera Antonidesa, którego znała lata temu, nie obchodziły bogactwo ani ambicja. Chciał tylko żyć tak, jak pragnął: na plaży, i robić tylko to, co lubił.

- Tak. Dziwię się, że wyjechałeś. Tam było wszystko to, co lubiłeś, i czego chciałeś.

Pokręcił głową.

- Chciałem wolności. Chciałem uwolnić się od spełniania oczekiwań innych. To właśnie miałem na plaży. A teraz nadal jestem wolny. To mój wybór. Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Jestem tutaj, bo tak chciałem. Ale to mnie nie określa. - Popatrzył poważnie na Ally. - Co u ciebie? Nie, zaczekaj. Siadaj. - Skinął w stronę fotela stojącego przy oknie. - Poproszę Rosie o kawę. A może wolisz mrożoną herbatę?

Nie przyszła tu z towarzyską wizytą.

- Dziękuj ę, ale nie - powiedziała szybko. - Nie mogę zostać długo.

- Po dziesięciu latach? No, pięciu, odkąd ostatni raz cię widziałem. I nie wmawiaj mi, że po prostu wpadłaś, będąc w pobliżu. Przyszedłaś specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć. To właśnie powiedziałaś. Siadaj. - Tym razem to nie było zaproszenie, lecz rozkaz. - Włączył interkom.

- Rosie, możesz nam przynieść mrożoną herbatę? Dziękuję.

Ally wzięła głęboki oddech. Peter zachował się teraz jak dyrektor. Zdecydowany, władczy. Oczywiście zawsze to potrafił, pomyślała, ale wtedy nie rządził innymi ludźmi, tylko sobą.

Niechętnie usiadła. Oczywiście miał rację. Przyszła, żeby z nim porozmawiać. Ale spodziewała się, że będzie to tylko wizyta formalna.

Nie ma w tym nic osobistego, zapewniała się. Peter już się nią nie interesuje. Tego była pewna. A ona musi po prostu pokonać tę w końcu niewielką przeszkodę i załatwić to, co powinna była załatwić już dawno temu: zawrzeć z nim pokój, zostawić przeszłość za sobą, ruszyć do przodu.

I jeżeli w tym celu ma usiąść i porozmawiać z nim przez kilka minut, niech i tak będzie. Wyjdzie jej to na dobre. Przekona się, że postępuje słusznie.

Ale trudno jej było zachować obojętność i uprzejmość, gdy w rzeczywistości pragnęła jedynie nasycić nim oczy.

Nawet w szortach i podkoszulku, owiany wiatrem i mokry od słonej wody, zawsze był niesamowicie przystojny. Wtedy nie potrafiłaby go sobie wyobrazić w garniturze.

Nie włożył garnituru nawet na ich ślub. Zresztą nie była to wielka okazja. Pięć minut w sądzie, uiszczenie opłat, wypowiedzenie przysięgi, nabazgrane podpisy - i stali się małżeństwem.

Teraz patrzyła na niego i starała się odszukać tamtego beztroskiego chłopaka w obecnej starszej i twardszej wersji mężczyzny.

Nie był tak jak wtedy opalony. Ale oczy nadal miały ten głęboki zielony kolor jadeitu. Włosy, kiedyś potargane i mocno skręcone, teraz były ostrzyżone krótko.

W wieku dwudziestu dwóch lat Peter Antonides był seksownym chłopakiem, w szortach i z ręcznikiem przewieszonym przez szyję. Dziś chodził w garniturze, porządnej koszuli i krawacie.

Zamknęła oczy, by choć przez chwilę na niego nie patrzeć.

Gdy je otworzyła, uważnie jej się przyglądał.

- A więc, żono, gdzie przez ten cały czas bywałaś?

Żono? No tak. Jest jego żoną, oczywiście, ale nie spodziewała się, że rzuci w nią tym słowem.

Zesztywniała.

- Tu i tam - powiedziała szybko, zanim pokusa stałaby się tak przemożna, że doprowadziłaby ją do nieszczęścia. - Na pewno wiesz.

- Opowiedz.

- Dobrze. Chociaż na pewno cię zanudzę. Jak wiesz, zaczęłam w Kalifornii.

- Po tym jak odeszłaś?

- Mówisz to tak, jakbym cię rzuciła! A nie rzuciłam cię i dobrze o tym wiesz. To był twój pomysł... żeby wziąć ślub. I znasz powód. Zaoferowałeś...

- ...że się z tobą ożenię. Tak, wiem. Po to, byś mogła otrzymać spadek po babci, uciec od złego ojca i żyć własnym życiem. Pamiętam.

Zacisnęła usta.

- To niezupełnie było tak.

- Dokładnie tak.

- On nie był zły. Nie jest zły - poprawiła się.

Wzruszył ramionami.

- Wtedy mówiłaś co innego.

- Wtedy też wcale nie myślałam, że jest zły. Ja po prostu... nie chciałam, by mną rządził. Mówiłam ci, jaki jest. Tradycyjny japoński ojciec, który wymaga posłuszeństwa. Był pewny, że wie, co jest dla mnie najlepsze, co powinnam studiować, co powinnam zrobić z moim życiem, za kogo wyjść! I znalazł mi kandydata. Kena.



- Ale ty tego nie chciałaś. Czyli teraz twierdzisz, że wtedy się myliłaś?

- Nie. Oczywiście, że nie. Racja była po mojej stronie. Dobrze o tym wiesz. Tyle że teraz lepiej go rozumiem. Jestem starsza. Mądrzejsza. I wróciłam na Hawaje. Znow się z nim widuję.

Peter spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział.

Tak więc Ally musiała mu to wytłumaczyć.

- Kilka miesięcy temu miał atak serca. Przez ten cały czas pozostawałam w kontakcie z kuzynką mamy, Grace. Zadzwoiła do mnie do Seattle i powiedziała, że ojciec jest ciężko chory. Może umrzeć. Nie mogłam tego tak zostawić. Chciałam się z nim pogodzić. Więc wróciłam do Honolulu. I zobaczyłam go po raz pierwszy od... od...

- Odkąd oświadczył, że już nie jesteś jego córką? - podpowiedział Peter ostrym tonem.

Ally przypomniała sobie, jaki był zły, gdy powtórzyła mu słowa ojca.

Teraz, z perspektywy lat, rozumiała ojca lepiej. Ale wtedy odwróciła się i odeszła.

- Tak. - Zacisnęła ręce na kolanach. - Gdy wróciłam, myślałam, że nadal będzie postępował tak jak wtedy. Ale nie. Był zadowolony, że mnie widzi. Wziął mnie za rękę. Poprosił, żebym została. - Zamrugnęła, by odpędzić łzy, które zawsze jej groziły, gdy przypominała sobie, jak blisko była tego, że nie zdążyłaby się pogodzić z ojcem. - I zostałam.

- Zostałaś? Z nim?

- Nie w jego domu. On chyba tego chciał, ale to nie byłoby rozsądne. Już nie jestem dzieckiem. Mam mieszkanie w śródmieściu Honolulu. Przeprowadziłam się w maju. Poszłam na plażę... i szukałam cię.

- Myślałaś, że ciągle jeszcze czekam na idealną falę? - spytał gorzko.

- Nie wiedziałam, że wyjechałeś z Hawajów.



- A ja sobie nie wyobrażam, by cię to interesowało.

Nie złapała się na przynętę.

- Do twojego mieszkania też poszłam.

- Naprawdę? - spytał obojętnym tonem. Wyraźnie mało go to obchodziło.

- Wyjechałem z Hawajów kilka lat temu. Oahu nie jest jedynym miejscem, gdzie można surfować. - Zamilkł. Ally myślała, że opowie jej, gdzie był. Ale on tylko dodał: - Przyjechałem tu dwa lata temu.

- Widziałam artykuł w „Star” o dawnym mieszkańcu Hawajów, który stał się miliarderem.

- Ple-ple-ple - parsknął. - Pismaki lubią tego rodzaju tematy. Ale zobacz, jakie są tego konsekwencje: żona stanęła na moim progu.

Znów „żona”.

- Ee, tak. Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Zapukano do drzwi. Weszła Rosie z tacą.

- Dziękuję, Rosie - powiedział Peter. - Chyba nie znasz jeszcze mojej żony. Ally, to Rosie. Rosie, przedstawiam ci Ally.

Rosie spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Naprawdę jesteś żonaty? Nie żartowałeś?

Czyżby powiedział o niej swojej sekretarce?

Ally pomyślała, że chyba coś źle zrozumiała. Ale wtedy Rosie grzecznie się uśmiechnęła.

- Miło mi cię poznać. Nareszcie.

- Rosie tu wszystkim zarządza - odezwał się Peter. Uśmiechnął się do sekretarki. - Nie łącz mnie z nikim. I umów proszę Ryne'a Murraya na inny termin.

- On już jest w drodze.

Ally zaczęła wstawać.

- Jesteś zajęty - powiedziała szybko. - Nie chcę ci przeszkadzać. Już idę...

- Trudno. - Peter kontynuował rozmowę z Rosie, jakby Ally w ogóle się nie odezwała. - Gdy przyjdzie, powiedz, że umówimy się na kiedy indziej. Żona i ja mamy sprawy do omówienia.

- Wcale nie - zaprotestowała Ally.

- I umów go na przyszły tydzień.

- Słuchaj, co do ciebie mówię. Nie chcę ci przeszkadzać w pracy. Powinam była najpierw zadzwonić. - Ruszyła do drzwi, ale złapał ją za ramię.

- Wszystko w porządku - powiedział stanowczo. Uśmiechnął się do Rosie. - To wszystko, dziękuję. - Zaczekał, aż zamknie za sobą drzwi, puścił Ally i z powrotem usiadł. - Siadaj - powiedział - i opowiadaj.

- Dlaczego ciągle to robisz? Dlaczego tak mówisz?

- Jak? I co robię? - Podał jej herbatę i wskazał tacę z ciasteczkami.

- Nie przyszłam tu na herbatę! Dlaczego przedstawiasz mnie jako swoją żonę? Dlaczego ciągle powtarzasz, że jestem twoją żoną?

- To ty tak się jej przedstawiłaś. Ja tylko to potwierdziłem.

- Ale dlaczego? Ona już wiedziała, że jesteś żonaty! - To ostatnia rzecz, jakiej mogła się spodziewać. Myślała, że on zachowa tę sprawę w tajemnicy.

- Jesteś moją żoną, więc jestem żonaty - powiedział z nieodpartą logiką.

- Tak, ale...

- Wolałabyś, żebym cię nazwał kłamczuchą?

- Nie, oczywiście, że nie. - Ally westchnęła. - Po prostu nie sądziłam, że będziesz o tym głosił. Dziennikarzowi nie powiedziałeś, że masz żonę - przypomniała mu. - Wprost przeciwnie, piszą tam, że umawiasz się z całym stadami kobiet.

- Stada! - Roześmiał się. - Towarzyszę kobietom na spotkaniach biznesowych. Mam znajome, przyjaciółki. Tego się po mnie ludzie spodziewają.

- Ale one nie wiedzą, że jesteś żonaty.

- Do licha, Al, sam z trudem w to wierzę.

Poczuła się winna.

- Wiem - powiedziała, zaciskając palce na szklance. - Przepraszam.

Wychodząc za ciebie, zachowałam się jak egoistka. Nie powinniśmy byli tego robić. Ja - poprawiła się - nigdy nie powinnam była ci na to pozwolić.

- Nie pozwoliłaś mi - sprzeciwił się. - Sam to zaproponowałem. A ty po prostu powiedziałaś „tak”. Zresztą - wzruszył ramionami - to nie była taka wielka sprawa.

- Dla mnie była.

Małżeństwo z nim pozwoliło jej podjąć spadek po babci. A to z kolei dało jej wolność, by mogła żyć tak, jak pragnęła, zamiast stosować się do rozkazów ojca. Zawdzięczała Peterowi wszystko, co osiągnęła, i doskonale o tym wiedziała.

- No, dobrze - mruknął. - Więc opowiadaj. Nie mieliśmy okazji... ostatnio, by porozmawiać.

Ostatnio. Pięć lat temu przyjechała do Honolulu na otwarcie wystawy swoich prac, a on pojawił się na sali z piękną kobietą. Woląca o tym nie myśleć.

- Byłam bardzo zajęta.

- To fakt. Teraz jesteś sławna.

- Powiodło mi się - stwierdziła skromnie.

Ciężko pracowała i była dumna z tego, co osiągnęła, ale nie chciała, by myślał, że się przechwala.

- Powiedziałbym, że osiągnęłaś wielki sukces. Znana na cały świat projektantka materiałów i ubrań. Międzynarodowe przedsiębiorstwa. Właścicielka firmy. Ile już masz butików?

- Siedem. W zeszłym miesiącu otworzyłam następny, w Honolulu.

Gdy dziesięć lat temu, po ślubie, opuściła Hawaje, pojechała do Kalifornii do szkoły artystycznej. Żeby uzupełnić dochody, jakie miała z legatu babci, pracowała w sklepie z materiałami. Zawsze pociągała ją sztuka. Udało jej się połączyć wiedzę ze studiów z wiedzą nabywaną w sklepie i dość szybko zaczęła projektować materiały i gobeliny, które natychmiast przyciągnęły uwagę.

Stąd był już jeden krok do projektowania ubrań. Swoje kolekcje nazwała „Sztuka, którą możesz nosić”.

Teraz ubrania jej projektu sprzedawano nie tylko w jej butikach, lecz w wielkich magazynach, a niektóre z jej gobelinów wisiały w muzeach.

- Imponujące - powiedział.

- Ciężko pracowałam. Chyba się o tym przekonałeś. - Myślała o spotkaniu pięć lat temu.

- Tak - przyznał i spojrzał na nią badawczo. - Teraz już chyba nie potrzebujesz ode mnie więcej przysług.

Ally zeszywniała. Wiedziała, że tamtego wieczoru nie zachowała się właściwie.

- Byłam wobec ciebie niegrzeczna.

To był jedyny raz od ślubu, kiedy go widziała.

Przyjechała do Honolulu na pierwszą wystawę swoich prac. Miała nadzieję, że się z nim spotka. Rozpaczliwie pragnęła mu udowodnić, że nie bezpodstawnie pokładał w niej zaufanie.

Wysłała ojcu zaproszenie na wernisaż, i nerwowo, ale z dumą czekała na jego przyjście. Nie przyszedł.

Przyszedł natomiast Peter, chociaż jemu zaproszenia nie wysłała.

Gdy nagle go zobaczyła, zabrakło jej tchu. Nie spodziewała się go tutaj.

Więc przeżyła szok. Zaszokował ją też widok kobiety u jego ramienia, blond seksbomby, tak samo olśniewającej jak on.

Peter mocno ją uściskał.

- Jesteś nadzwyczajna! - wykrzyknął entuzjastycznie. - A twoje wyroby...  
- zatoczył ręką wokół galerii - też są nadzwyczajne. Niezwykłe. Przy-  
prowadziłem dziennikarkę. - Przedstawił blondynkę. - To Annie Cannavaro.  
Pisze do „Star”. - Potem przedstawił Ally. - Ale nie powiedział: to moja żona.

W ogóle nic nie powiedział na temat ich znajomości. Zresztą Ally tego nie oczekiwała. Wiedziała, że ożenił się z nią, żeby wyświadczyć jej przysługę, i że nie jest to związek na zawsze.

A on uznał, że potrzebuje kolejnej przysługi. Od samej tej myśli zrobiło jej się czerwono przed oczami. Nie jest już tą dziewczyną w potrzebie, z którą się ożenił!

Był zdumiony jej szorstkością. Ale Ally czuła się wtedy zbyt niepewnie, by przyjąć jego ofertę pomocy.

A poza tym, chociaż ciężko jej to było przyznać nawet przed sobą, widok Petera z inną kobietą, o wiele bardziej odpowiednią dla niego niż ona, jeszcze bardziej wszystko pogorszył.

Była sztywna i napięta, udawała obojętność.

Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy zobaczyła ich w drzwiach. Jednak ulga nie trwała długo. Peter jeszcze do niej podszedł. Jego zwykły uśmiech zniknął.

- Co, do diabła, się z tobą dzieje?

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparła chłodnym tonem, próbując go wyminąć. Ale on się nie ruszył.

- Bardzo dobrze wiesz o co. Może w tej chwili jesteś zbyt spięta, bo za wszelką cenę chcesz osiągnąć sukces. Nie chcesz mnie znać, niech tak będzie. Ale nie było powodu, żebyś tak się zachowała wobec Annie.

Upokorzona jego oskarżeniem, gwałtownie się zaczerwieniła.

- Ja... nie chciałam być nieuprzejma. Po prostu nie potrzebuję twojej pomocy. Nie musisz przybiegać mi na ratunek!

- Do cholery, nie przybiegłem ci na ratunek - warknął. - Myślałem, że będziesz chciała trochę dodatkowej reklamy. Ale jeżeli tak to widzisz, dobrze. Powiem jej, żeby nic nie napisała.

- Możesz jej mówić, co ma pisać? - A więc to prawda. Są ze sobą.

- Zapomnij. Przepraszam, że ci się naprzykrzam. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Od tego czasu nie widziała go, nie słyszała o nim, nie kontaktowała się z nim - aż do dziś.

- Przepraszam za tamto - powiedziała teraz. - Wtedy ciągle jeszcze szukałam własnej drogi. Wystarczająco dużo dla mnie zrobiłeś. Nie chciałam, żebyś mi znów pomagał.

- O to ci właśnie chodziło? - spytał ze złością.

Ich spojrzenia się spotkały. Skinęła głową.

- Tak. Jednak nie powinnam była tak się zachować. W każdym razie dowiedziałam się, kim jestem i co mogę osiągnąć. I zawdzięczam to tobie. Więc przyszłam, by chociaż z opóźnieniem podziękować ci i... - podała mu teczkę z dokumentami - przynieść ci to.

- Co to jest? - Wziął teczkę do ręki, ale jej nie otworzył.

- Papiery potrzebne do rozwodu. Najwyższy czas, prawda? - Powiedziała to szybko i uśmiechnęła się tak raźnie, jak tylko mogła. Chciała, by on też się do niej uśmiechnął.

Ale nie zrobił tego. Patrzył na teczkę i nic nie mówił.

- Wiem, że powinnam była załatwić to już dawno - paplała. -  
Przepraszam, że zajęło to tyle czasu. Myślałam, że ty wystąpisz o rozwód. Mogłeś to zrobić w każdej chwili. Pamiętasz, mówiłam ci.

Nadal milczał. Twarz miał kamienną, nieprzeniknioną.

- Powinnam była się tym zająć lata temu. To tylko formalność, potwierdzenie faktu. Oczywiście nie oczekuję od ciebie alimentów. Ale -  
dodała, bo postanowiła, że złoży mu taką propozycję - jeżeli chcesz udziały w mojej firmie, są twoje. Masz do tego prawo.

- Nie chcę.

- Chciałam ci to zaproponować. Okej, tak będzie nawet łatwiej. - Sięgnęła do torebki po pióro. - Wobec tego musisz tylko podpisać. Resztą sama się zajmę.

- Nie sądzę.

Teraz już nie było w jego głosie szorstkości, lecz tylko chłodny spokój. Ally zdumiona spojrzała na niego.

- Oczywiście, jeżeli chcesz, by przejrzał je prawnik...

- Nie.

Zmarszczyła czoło.

- No więc... podpisz. - Znow podał mu pióro.

Nie wziął go ani się nie poruszył. W końcu rzucił teczkę na biurko.

- Nie będzie rozwodu.



## ROZDZIAŁ DRUGI

- Co takiego? O czym ty mówisz?

- Wydaje mi się to całkiem jasne. Którego słowa nie rozumiesz?

Ally patrzyła na niego, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

- Ha, ha. Bardzo śmieszne. Daj spokój! Zażartowałeś sobie, powiedziałeś, co ci leżało na sercu. Tamtego dnia byłam nieprzyjemna. Przepraszam. Ale dorosłam, zmieniłam się. A teraz po prostu podpisz papiery i już sobie idę.

- Nie wydaje mi się.

- Dlaczego? To nie ma sensu.

- Oczywiście, że ma. Jesteśmy małżeństwem. Ślubowaliśmy.

- Och, tak, jasne. I dotrzyмалиśmy ślubów, prawda?

- Ally, mów za siebie.

- O co ci chodzi?

- Nieważne. - Długą chwilę patrzył przez okno, a Ally aż się gotowała z niecierpliwości, czekając na jakieś wyjaśnienie. W końcu znów odwrócił się do niej. - Po prostu mówię, że jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat. To długo. Wiele małżeństw nie potrafi tyle przetrwać.

- Sugerujesz, że małżeństwu wychodzi na dobre, jeżeli małżonkowie przez dziesięć lat się nie widują? Albo pięć? - dodała, zmuszając się do wspomnienia o tamtym nieszczęsnym spotkaniu.

Pokręcił głową.

- Nie. Mówię, że powinniśmy spróbować.

- Co spróbować?

- Wspólnego życia. Zobaczyć, jak by nam poszło.

Ally otworzyła usta, a potem znów je zamknęła. Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Nie taki był jej plan.

- Nie znamy się - argumentowała.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

- Ty byłeś chłopakiem z plaży, a ja sprzedawczynią w barze, w którym kupowałeś hamburgery.

- Tam się poznaliśmy. I zostaliśmy przyjaciółmi. Chyba nie chcesz zaprzeczyć, że nimi byliśmy.

- Nie. Właśnie o to chodzi. Byliśmy przyjaciółmi. Kumplami. Ale na pewno mnie wtedy nie kochałeś. I teraz też jest niemożliwe, by coś się zmieniło.

- Naprawdę? Może i nie. Ale podoba mi się to, co widzę. A bardzo wiele małżeństw zaczyna nawet na bardziej kruchych podstawach.

Na pozór jego słowa brzmiały przekonująco i rozsądnie. Zupełnie jakby było normalne, że dwoje ludzi, rozdzielonych przez dziesięć lat, nagle, ni stąd, ni zowąd, podejmuje wspólne życie w miejscu, w którym je porzucili.

Może i dla niego było to logiczne. W końcu ożenił się z nią bez stawiania jakichkolwiek warunków. Wyświadczył jej przysługę.

Pokręciła głową.

- To śmieszne.

- Wcale nie.

- Oczywiście, że tak. Mieszkamy daleko od siebie. Mamy całkowicie inne życie.

- Ja łatwo się dostosowuję.

- A ja nie! Teraz mieszkam na Hawajach. Podoba mi się tam, tam jest mój dom. Ciężko pracowałam, żeby stać się tym, kim jestem, i robić to, co robię. Nadszedł czas na następny krok.

- Jaki?

- Rozwód.

- Nie.

- Tak! Muszę dostać rozwód. Ja... ja chcę nareszcie normalnie żyć.

- Dlaczego właśnie teraz?

- Po pierwsze dlatego, że cię znalazłam. Więc na co czekać? Przecież nic nas nie łączy.

- Mamy wspomnienia.

- Sprzed dziesięciu lat - parsknęła ironicznie.

- I sprzed pięciu.

- Już cię za to przeprosiłam.

- Tak. Dziękuję - powiedział oficjalnie. - W każdym razie to nie moja wina, że się nie kontaktowaliśmy. To ty wyjechałaś, nie zostawiając adresu.

- Tak, to moja wina - mruknęła. - Może i pozostałabym z tobą w kontakcie, ale...

Gdyby tak zrobiła, naraziłaby się na pokusę, z którą mogłaby sobie nie poradzić. Małżeństwo z Peterem to była inna sprawa: kilka wyrecytowanych słów, podpisy, trochę jak interes, nic osobistego. Ale tamta noc, po ślubie, jedyna noc z nim, była bardzo osobista. Sprawiała, że Ally zapragnęła rzeczy, których nie powinna pragnąć, i których on zdecydowanie nie chciał. Tego była pewna. Wiedziała, że ożenił się z nią tylko po to, by jej pomóc.

Nie byłoby uczciwie zmieniać zasady.

- Po prostu myślałam, że tak będzie lepiej.

- Żeby nic cię nie odciągało od realizacji twoich planów - przetłumaczył to sobie.

- Tak - skłamała. - Ale wszystko się zmienia. Ludzie się zmieniają. Sam tak powiedziałeś.

- Więc, Al, jaki jest prawdziwy powód?

Nie chciało jej to przejść przez gardło, w końcu jednak powiedziała:

- Wychodzę za mąż.

- Co takiego?

- Powiedziałam, że wychodzę za mąż. Nie wszyscy traktują mnie jak obiekt dobroczynności - odparła ostro. - Jestem zaręczona.

- Czy to nie wydaje ci się trochę przedwczesne? Jak na razie, masz już męża.

- Nie zaręczyliśmy się oficjalnie - wyjaśniła. - Właśnie dlatego przyniosłam te papiery. Żebyś je podpisał. To czysta formalność. Mogłam je przysłać pocztą, ale pomyślałam, że uprzejmiej będzie przynieść je osobiście.

- Uprzejmiej! - parsknął.

- Jestem uprzejma - broniła się. - Nie sądziłam, że będziesz chciał... to utrzymać. Przecież nigdy nie byliśmy prawdziwym małżeństwem.

- Byliśmy. Przez jedną noc.

- To nie było... rzeczywiste.

- Dla mnie było jak najbardziej rzeczywiste.

- Przestań! Wiesz, o co mi chodzi.

Westchnął.

- Wytłumacz mi.

- Chodzi mi o to, że już nadszedł czas, by iść do przodu. Powinnam była to załatwić wcześniej. Ale po powrocie do Honolulu nie wiedziałam, gdzie cię szukać, zresztą nie sądziłam, by to było potrzebne, a potem... potem Jon mi się oświadczył i...

- Wiedział, że masz męża?

- Tak. Ale chyba sądził, że jestem rozwiedziona. - Jak można powiedzieć mężczyźnie, z którym się spotykasz, że jesteś zamężna, ale nie wiesz gdzie małżonek przebywa?

- I nie sprostowałaś tego?

- Jakoś nigdy do tego nie doszło.

Spojrzał na nią sceptycznie.

- Przecież to była tylko czysta formalność - tłumaczyła się. - To była tylko jedna noc!

Ale co za noc!

Gdy po ceremonii poszła do domu, powiedziała ojcu, ten długo na nią patrzył, a potem spytał:

- Wyszłaś za męża? - I po jeszcze dłuższej chwili dodał: - Naprawdę?

Wiedziała, dlaczego się pobrali, ale te słowa ojca wywołały jej wątpliwości. Czy małżeństwo to tylko wymiana kilku słów i podpisanie dokumentów? Oczywiście, że nie. Rozumiała, że to coś więcej. Widziała głęboką miłość między rodzicami. Widziała rozpacz ojca, gdy umarła jej matka. W tym świetle jej małżeństwo z Peterem było zwykłą fikcją.

Zapragnęła „prawdziwego” małżeństwa z Peterem Antonidesem.

I tamtej nocy poszła do jego mieszkania.

Ciągle jeszcze pamiętała jego zdumienie, gdy otworzył drzwi.

- Alły? Co się stało?

- Ja... potrzebuję jeszcze jednej przysługi.

- Jasne. Powiedz, o co chodzi.

- Czy możesz... - wyjąkała - kochać się ze mną?

Popatrzył na nią w oszołomieniu. Trwało to tak długo, że niemal uciekła. Spróbowała się wytłumaczyć.

- Ożeniłeś się ze mną, żeby zrobić mi przysługę. Ale ja chcę, żeby to było prawdziwe.

Nie poruszył się.

- Wiem, że kochanie się nie sprawi, że to będzie prawdziwe - dodała szybko. - I wiem, że to się nie powtórzy. Po prostu myślałam... gdybyś chciał... Może nie wydaję ci się atrakcyjna. Zrozumiem to i...

- Nie bądź głupia - powiedział.

Chwycił ją za rękę i wciągnął do mieszkania.

I sprawił, że była to najcudowniejsza noc w jej życiu. A rano była już w nim głęboko zakochana.

Żyła wspomnieniem tej nocy całe lata. Nie interesowała się mężczyznami, wydawało jej się, że już nigdy żaden nie wzbudzi jej uczuć. Aż do chwili, gdy poznała Jona.

Pokochała go. Na swój sposób był dokładnie tym, kogo chciała i potrzebowała. Miły, troskliwy. Mężczyzna, który pragnął mieć żonę i dzieci. Który był takim samym pracoholikiem jak ona.

Gdy tylko dostanie rozwód, wyjdzie za niego. Da swojemu ojcu wnuki, za którymi tak tęsknił.

I zgromadzi nowe wspomnienia, które wyprą pamięć o jedynej nocy z Peterem.

- Kim jest ten szczęśliwiec? - spytał teraz.

- Lekarzem. Kardiologiem. Bardzo szanowanym. Poznałam go, gdy ojciec leżał w szpitalu. Pasujemy do siebie. Lubimy te same rzeczy. Pragniemy tego samego.

- Więc wyjdiesz za niego? Kochasz go?

- Oczywiście, że go kocham. To wspaniały człowiek. Ciężko pracuje. Jest inteligentny. Mądry. Troszczy się o ludzi. Stara się ich wyleczyć. Dać im nowe

życie. Szanuje mnie i to, co osiągnęłam. Ja też go szanuję. I oboje pragniemy mieć dom, dzieci. Nie chcę, żeby moja rodzina składała się tylko z taty i mnie. Ani ojciec tego nie chce. Uwielbia Jona.

- Nie dziwię się.

- Wyszłabym za niego, nawet gdyby ojciec go nie lubił. Jon to wspaniały człowiek.

- Ale to nie zmienia faktu, że nadal jesteś moją żoną.

I znów wrócili do początku. Do papierów rozwodowych, na które nawet nie chciał spojrzeć. A widząc jego upartą minę - taką samą jak wtedy, gdy z determinacją ujarzmił fale - wiedziała, że teraz nie zmieni zdania.

Westchnęła i wstała.

- Dobrze. Nie musisz ich podpisywać. - Wzięła teczkę z biurka. - Mogę się rozwieść bez twojej zgody.

No, trudno. Popęłniła błąd, przychodząc do niego. Jon miał rację, gdy jej to odradzał.

- Al, nie otwieraj puszk Pandory - ostrzegł. - Możesz zostać zraniona.

Ale ona czuła się zobowiązana do przyjscia. Peter kiedyś wyświadczył jej przysługę. Musiała mu za to podziękować teraz, gdy małżeństwo dobiegało końca.

- Zadzwoń do mnie, jeżeli zmienisz zdanie. Będę w mieście do piątku. Jeśli nie zadzwonisz, zobaczymy się w sądzie.

- Więc jednak masz żonę - powiedziała Rosie, wchodząc do gabinetu.

- Przecież mówiłem, że mam - odparł ostro Peter.

Nigdy tego nie ukrywał. Nie jego wina, że mu nie wierzono i traktowano to jak żart.



Czasami miał wrażenie, że jego małżeństwo z Ally było tylko snem, dalekim wspomnieniem pewnego momentu w życiu, który nie miał nic wspólnego z rzeczywistością.

Powinien był sam wystąpić o rozwód. Ale nie zrobił tego. Rozwód nie był mu do niczego potrzebny.

Na razie nie zamierzał się żenić. Zresztą posiadanie żony na odległość było wygodne. Mógł dalej surfować na Hawajach, bo nie miał żadnych obowiązków. A gdy wrócił do Nowego Jorku i rodzice zaczęli przedstawiać mu różne kobiety, okazało się jeszcze wygodniejsze.

- Nie fatygujcie się - powiedział im. - Ja już jestem żonaty.

Oczywiście mu nie uwierzyli.

Gdzie jest jego żona? Myśleli, że żartuje aż do chwili, gdy pokazał im świadectwo ślubu. Wyjaśnił, dlaczego się ożenił.

- Więc kiedy ona wróci do ciebie? - pytali.

- Gdy znajdzie swoją drogę w życiu - odpowiadał.

Skąd, do licha, mógł wiedzieć, co i kiedy Ally zrobi? Starał się o niej zapomnieć, ale nie mógł. Zawsze była w jego myślach - ona, i ta jedna wspólna noc.

Miał trzydzieści trzy lata, był gotowy do ożenku z kobietą, która pozostanie przy nim. I chociaż niektóre z kandydatek przedstawianych mu przez rodziców były całkiem miłe, nadal nie mógł zapomnieć o Ally.

A teraz wróciła.

- Jest wspaniała - stwierdziła Rosie.

- Tak.

Wspaniała to za mało powiedziane. Ally zawsze była piękna. Uderzyło go to, gdy pierwszy raz kupował sobie przekąskę w sklepiku Bently'ego.

Mieszanka genów jej japońskiego ojca i chińsko-hawajsko-angielskiej matki dała w efekcie kobietę o uderzającej urodzie, z porcelanową cerą, twarzą o wydatnych kościach policzkowych, leciutko skośnych oczach i najdłuższych rzęsach, jakie Peter kiedykolwiek widział.

Lśniące czarne włosy zawsze były porządnie uczesane, upięte albo puszczzone luźno. Oprócz tej nocy, kiedy się z nią kochał. Wtedy przeistoczyły się w gęstą czarną kurtynę, którą przeczesywał palcami, krył w niej twarz, głaskał sobie nią policzki.

W chwili gdy weszła do jego gabinetu, palce aż go swędziały, by rozpuścić te włosy i zrobić jeszcze raz to wszystko, co wtedy.

Na szczęście nie opuścił go zdrowy rozsądek ani instynkt samozachowawczy. I, też na szczęście, dowiedział się o niej wielu rzeczy, gdy z sercem na dłoni poszedł pięć lat temu na wernisaż. Raz zachował się jak głupiec. Więcej tego nie robi.

Ale też nie pozwoli jej odejść.

Ciągle jeszcze coś między nimi jest. Przyciąganie. Niezakończone sprawy.

Czy kiedykolwiek spędziła z tym cholernym Jonem taką noc, jak z nim? Na tę myśl ręce zacisnęły mu się w pięści.

Jak mogła tak po prostu tu wejść i rzucić na stół papiery rozwodowe? Dlaczego chce wyjść za innego? I skąd może mieć pewność, że ich małżeństwo jest skazane na klęskę, skoro nigdy nawet nie spróbowali być razem?

- ...prosi, żebyś do niej oddzwonił. - Głos Rosie rozproszył jego zamyślenie.

- Kto?

- Cristina - powtórzyła Rosie cierpliwie. - Twoja siostra. Mówiła, że Mark wrócił z San Diego i chce z tobą przedyskutować to, co tam załatwił. Zaprasza cię na kolację.

Kolacja. Cristina. Mark.

Wrócił do rzeczywistości. Mark, mąż jego siostry bliźniaczki, również pracował w Antonides Marine. I czasami łatwiej było omawiać sprawy służbowe przy kolacji niż w biurze. W końcu to rodzinny interes.

Ally chce mieć rodzinę. Tak powiedziała.

No dobrze, pomyślał Peter. On może jej to zapewnić. Jego rodzina jest bardzo liczna.

- Zadzwoń do Cristiny i powiedz, że dziś nie mogę - polecił Rosie. - Powiedz jej, że jestem zajęty. Jem kolację z moją żoną.

- Załatwiłaś? - spytał Jon.

- Jeszcze nie. - Ally nerwowo chodziła po hotelowym pokoju. - Ale zdobędę jego zgodę - obiecała.

- Nie zobaczyłaś się z nim?

- Widzieliśmy się. Zdobędę podpis. Po prostu nie wydawało mi się słuszne wparować z powrotem w jego życie i z miejsca rzucić mu papiery rozwodowe na stół.

- Wiedziałem, że to zły pomysł.

- To nie był zły pomysł - sprzeciwiła się. - Tylko go zaskoczyłam.

- Tym, że przyszedł, czy tym, że chcesz rozwodu?

- Chyba jednym i drugim. Nie martw się. Jestem pewna, że podpisze.

Peter nie reaguje dobrze na presję.

Pamiętała to jeszcze z hawajskich czasów. Teraz nie powinna była tak nalegać. Trzeba było z nim pogadać, wypytać, co robił przez te wszystkie lata,

nie naciskać. Poszła do jego biura w nadziei, że ich spotkanie będzie czystą formalnością. Nie spodziewała się nawrotu pożądania, wspomnień o nocy, którą z nim spędziła po ślubie.

- Więc kiedy wracasz? - spytał Jon.

- Nie przed weekendem. Mówiłam ci, że chcę pójść do galerii Gabrieli.

Przecież przyjechałam tu nie tylko dla Petera.

- Nie. Pojechałaś tam dla nas - przypomniał jej Jon. - Po to, by zamknąć przeszłość i rozpocząć nowe życie. Bo je rozpoczynasz, prawda, Ally?

- Oczywiście, że tak.

- No dobrze. Przypominam ci też, że twój ojciec ma słabe serce. Jadłem z nim wczoraj kolację. Miał nadzieję, że powiesz mu, że już wszystko zakończyłaś i wracasz do domu. On bardzo chce doczekać naszego ślubu.

Ally westchnęła.

Wiedziała, że ojciec jest słabego zdrowia. I wiedziała też, jak bardzo go uszczęśliwi jej małżeństwo z Jonem.

Gdy pożegnała się z nim, zadzwonił telefon.

- Zjedz ze mną kolację. - Wiedziała, kto mówi. Słyszała ten głos zaledwie godzinę temu, ale nawet gdyby nie słyszała go od lat, też by rozpoznała. Był niski i tak seksowny, że zadrzała.

- Kto mówi? - spytała, zbierając siły.

Roześmiał się.

- Daj spokój, Al. Bądź dobrym graczem. Zawsze byłaś.

- To nie ma nic wspólnego z grą. Przyjechałam tu, by uzyskać twój podpis.

- Więc przekonaj mnie do rozwodu.

- Peter...

- Tchórzysz? - To było to samo wyzwanie, ten sam droczący się ton, jakim mówił wtedy.

Gdy go poznała, nigdy nie surfowała, bała się.

- Nie surfowałaś? Jak mogłaś bez tego żyć? - Patrzył na nią w zdumieniu. Podała mu zamówioną potrawę, ale on się nie ruszył, nie zwracając uwagi na kolejkę, która się za nim ustawiała.

- Nie wszyscy mieszkańcy Hawajów surfują - powiedziała wyniośle. Wzruszył ramionami.

- Pewnie nie. - Uśmiechnął się. - Zresztą dlaczego miałabyś to robić, skoro jesteś tchórzem?

- Nie jestem tchórzem!

- Więc chodź ze mną. Nauczę cię.

- Ja tu pracuję. - Miała obowiązki, nawet jeżeli on był od nich wolny. - Nie mogę, ot tak sobie, odejść i bawić się z tobą.

- Więc umówmy się na jutro rano. Spotkamy się o siódmej. Chyba że jesteś tchórzem.

- Nie jestem tchórzem! - Teraz powiedziała to samo.

- Dobrze. Zjem z tobą kolację. Pogadamy o starych dziejach i będziesz mógł podpisać papiery. Gdzie się spotkamy?

- Przyjadę po ciebie.

- Wolę, żebyśmy się spotkali na miejscu.

- Dobrze - zgodził się po chwili milczenia. - Znajdę cię na stacji metra przy Siódmej Alei. I to jest randka.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

To nie jest randka, powiedziała sobie stanowczo.

Była zła. Na Petera, ale jeszcze bardziej na siebie.

Zarzucała sobie teraz, że chciała okazać się uprzejma i poszła do niego z papierami. Jon miał rację. Powinna była wysłać mu je pocztą. A gdyby nie podpisał, to trudno. I tak wystąpiłaby o rozwód.

Oczywiście nadal mogła to zrobić. Ale teraz będzie trudniej. Nie mogła też zrozumieć, dlaczego Peter jest taki uparty.

Jednak poszła do niego nie tylko przez uprzejmość. Chciała też sprawdzić, jak na niego zareaguje. Postawił jej świat na głowie tej nocy, gdy się kochali. Sprawił, że pragnęła rzeczy, o których nawet nie wiedziała, że istnieją, rzeczy, o których od tamtej pory próbowała zapomnieć.

Gorzej: sprawił, że go pragnęła. I, niestety, jej ciało nadal go pragnęło.

Dlatego włożyła czarne spodnium, upięła włosy w kok, zapięła się pod szyję, żeby pamiętać, że nie spotyka się z Peterem dla zaspokojenia fizycznych pragnień.

Spotyka się z nim ze względu na zobowiązania wobec ojca i swoją przyszłą rodzinę.

Żeby położyć kres fikcji małżeństwa i móc zawrzeć prawdziwe małżeństwo z Jonem.

- Pamiętaj o tym - powiedziała swojemu odbiciu w lustrze. - Peter cię nie kocha. Po prostu chce cię mieć z powrotem.

Była całkowicie pewna, że właśnie dlatego odmawia zgody. Każe jej płacić za to, że była taka ostra i nieuprzejma tamtego wieczoru, gdy przyszedł na wernisaż.

- Nie kocha cię - powtórzyła sobie stanowczo - a ty nie kochasz jego.

W metrze zgrzała się, zawadziła o coś głową, kok się rozluźnił. Szkoda, że nie wie, do jakiej restauracji mają iść; poszłaby tam od razu i doprowadziła się do porządku. Ale Peter już na nią czekał, nadal ubrany tak jak w biurze, tyle że bez krawata i z marynarką przewieszoną przez ramię. I nadal emanował męską mocą.

Ally wstrzymała oddech.

- Punktualna - powiedział z aprobatą. - Nie miałaś kłopotu z dostaniem się tu? Wyglądasz wspaniale.

To było tak oczywiste kłamstwo, że Ally się roześmiała.

- Ach, nareszcie szczerzy śmiech.

- Wcale nie dlatego, że tu jestem - powiedziała sarkastycznie.

On też się roześmiał, i zanim się zorientowała, albo zdążyła na to przygotować, objął ją i pocałował.

To był szybki pocałunek. Cmoknięcie raczej, ale pozostawiło na jej ustach smak jego ust. Miliony ludzi codziennie wymieniają takie pocałunki na powitanie. Nie zdarzyło się nic, co mogłoby roztrzaskać czyjś świat.

Ale jej świat się roztrzaskał.

Bo ten krótki dotyk pobudził do życia wspomnienia, które kłębiły jej się w głowie przez dziesięć lat i które na zmianę to sublimowała, to tłumiała. Teraz wystarczyła ta jedna chwila, by zwały się wszystkie mury obronne, jakie zdołała wybudować.

Jedna chwila, smak jego ust, zapach, i znalazła się z powrotem na Hawajach, w jego mieszkaniu, w jego ramionach.

Zachwiała się. Podtrzymał ją, zanim upadła.

- Co się stało?



Oczywiście, nic się nie stało. Ale Peter obejmował ją w pasie, a ona czuła, że nogi ma jak z galarety. Chwyliła go za przód koszuli, usiłując odzyskać równowagę. Minęła chwila, zanim wreszcie się opanowała i odsunęła.

- Nic mi nie jest. To z gorąca.

- Na pewno? - Był tak blisko.

Mogła widzieć każdą jego pojedynczą rzęsę. Są takie gęste. Szkoda ich dla mężczyzny, pomyślała. Pochylił się, spojrzał na nią zmartwiony.

Ally odstąpiła o krok.

- W metrze było duszno. Dokąd idziemy? Daleko? Muszę przemyć twarz zimną wodą.

- Niedaleko. - Ciągłe obejmując ją w pasie, przeszedł kawałek i skierował się do sklepu spożywczego.

Zmarszczyła czoło.

- Co robisz?

- Muszę kupić kilka rzeczy. Chodź.

W sklepie zastanowił się chwilę, a potem wziął dwie kukurydze.

- Dlaczego teraz robisz zakupy?

- Bo jeszcze godzinę temu nie wiedziałem, że będę miał towarzystwo przy kolacji.

- My nie... chcesz powiedzieć, że sam będziesz gotował?

- Nie ma końca moim talentom, co? - Rzucił jej uśmiech.

- Nie musisz dla mnie gotować - powiedziała szybko. - Chodźmy stąd.

Zapraszam cię do restauracji.

- Nie. Lubię gotować.

I już prowadził ją do kasy.

Mieszkał w bardzo eleganckim niewysokim domu, na parterze.

- Mam ogródek - mówił, otwierając drzwi. - Niezbyt wielki, ale przynajmniej jest tu trochę zieleni. I, jak widzisz, przywiozłem ze sobą kawałek Hawajów.

Wprowadził ją do bawialni. Stała zaskoczona na widok fresku na całej ścianie. A jeszcze bardziej zaskoczyła ją przedstawiona scena.

To była plaża, na której się spotykali. Bar Benny'ego, gdzie pracowała. Sklep z wyposażeniem do surfowania, w którym pracował Peter. Skały, pływacy i plażowicze, surferzy na falach...

Podeszła, by przyjrzeć się bliżej.

- Jak to namalowałaś? To niezwykle.

- Nie ja. Nie mam duszy artysty. Ale moje siostry są artystkami. Zrobiła to Martha, ta młodsza. Właśnie tym się zajmuje. Maluje freski.

Ally była zachwycona.

- Niesamowite! Niemal czuję wiatr od morza, zapach wody, wosku na deskach i...

- ...i potraw Benny'ego - dokończył z uśmiechem.

Ally roześmiała się, bo tak było rzeczywiście.

- I potraw Benny'ego - zgodziła się. - To fantastyczne.

- Tak. I dobre przypomnienie. Czasami.

- Czasami?

Wzruszył ramionami.

- Wszystko wtedy było prostsze. Nadzieje, marzenia. - Zamilkł na chwilę.  
- Ale warto mieć takie wspomnienia. Przynajmniej większość z nich.

Przez chwilę nic nie mówili. Ally przyglądała się freskowi, snując własne wspomnienia z tamtych dni.

- Czy ja tu też jestem? - spytała po chwili.

- Oczywiście.

- Gdzie?

- Nieważne. Chodź. Zabiorę się do kolacji. Chcesz piwo? A może wino?

- Chyba kieliszek wina.

Wiedziała, że lepiej byłoby nie pić. Powinna mieć jasny umysł i instynkty pod kontrolą. Ale kieliszek wina może pomóc jej się uspokoić. Nie chciała czuć się taka wzburzona jak w tej chwili.

Zresztą to wcale nie jest wielka sprawa, przekonywała się, a jedynie mała przeszkoda na drodze do małżeńskiego szczęścia.

Na każdej drodze napotyka się przeszkody. Znała to z doświadczenia. Po prostu trzeba właściwie wszystkim kierować, a przeszkody omijać.

Ale Peterem nie było łatwo sterować.

Podał jej kieliszek czerwonego wina.

- Peter, dlaczego nie chcesz podpisać papierów? Po to tu przyjechałam.

- Nie po to, by się ze mną zobaczyć?

Zaczerwieniła się.

- Oczywiście, cieszę się, że się spotkaliśmy, ale... to nie był główny powód.

- Nie pomyślałaś, że może warto byłoby lepiej mnie poznać, zanim zdecydujesz, że ci nie pasuję?

Otworzyła usta, potem je zamknęła.

- To nie tak - powiedziała w końcu. - Jona poznałam, gdy zajmował się w szpitalu moim ojcem. Widziałam, jak ciężko pracuje, jak bardzo troszczy się o chorych. I zakochałam się w nim.

Peter milczał.

Nie mogła zgadnąć, o czym myśli, a to wytręcało ją z równowagi. Zawsze był człowiekiem otwartym, miał słoneczny charakter i serce na dłoni. Ale nie teraz.

- Więc jeżeli zjemy razem kolację i z powrotem się trochę zaznajomimy, będziesz zadowolony? - spytała.

- Nie sędzę. - Przełożył kotlety i kukurydzę na tacę.

- Nie bądź taki tajemniczy - powiedziała ze złością. - Czego ty właściwie chcesz?

- A jak myślisz?

- Nie mam pojęcia.

- A to powinno być oczywiste. Chcę mieć czas na zastanowienie się. Nie mam zwyczaju podejmować nagłych decyzji. Rozpatruję możliwości. I nigdy nie podpisuję czegoś, o czym wcześniej nawet nie myślałem.

- Oprócz świadectwa ślubu.

Zamrugął, a potem się roześmiał.

- Tak. Oprócz świadectwa ślubu.

- To wcale nie jest śmieszne. A jeżeli tobie się tak wydaje, możesz to rozwiązać w ten sam sposób.

- Za wcześnie.

- Przecież minęły całe lata! - wykrzyknęła niecierpliwie. - Po co chcesz ustalać jakiś harmonogram?

- Nie ustalam. - Wziął talerze i ruszył do ogrodowych drzwi. - To ty masz swój harmonogram.

- Bo mam narzeczonego.

- I męża - przypomniał jej.

Westchnęła.

- Tak, to prawda. Powinnam była wszystko inaczej załatwić. Moja wina. Ale pomyśl o tym, że dopóki nie przeczytałam tamtego artykułu, nawet nie wiedziałam, gdzie jesteś. Czy miałam zawiesić swoje życie aż do chwili, gdy cię znajdę?

- A szukałaś mnie?

- Szukałam. Tam, na plaży.

- Tylko? Więc nie zależało ci specjalnie na tym, by mnie znaleźć.

Przeciwnie, bardzo jej zależało. I była bardzo rozczarowana, że wyjechał. Ale podeszła do tego filozoficznie. Nie spodziewała się przecież, że będzie na nią czekał. Niczego sobie nie obiecywali. Ale teraz mu tego nie powie.

- Bardzo bym się cieszyła, gdybym cię znalazła - powiedziała uprzejmie.

Położył kotlety na grillu.

- Och, pewnie.

- A ty? - spytała. - Szukałeś mnie?

Spojrzał na nią.

- Po tym, gdy tak się ucieszyłaś na mój widok na wernisażu? Do diabła, nie. - Powiedział to twardo, bez wahania.

A ją to zabolalo, chociaż spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Więc powinieneś się cieszyć, że wreszcie się mnie pozbędziesz.

- Chyba musimy to sprawdzić, prawda?

- Więc po to mnie tu zaprosiłeś?

- Tak.

- I co mam zrobić, żeby cię przekonać?

- Bardzo się postarać. - Uśmiechnął się. - Opowiedz mi o sobie. Wiem, co robisz. Widziałem twoje prace. Nie musiałem ich specjalnie szukać - dodał. - Ale nie rozumiem, skąd ten zwrot.

- Jaki zwrot?

- Od znanej artystki i kobiety oddanej międzynarodowym interesom do kobietki rozpaczliwie pragnącej męża i dzieci.

- Byłam w Seattle, gdy ojciec dostał ataku serca. Nie widziałam się z nim od lat.

- Od wernisazu?

- Nie przyszedł. Nie był jeszcze gotowy, by odrzucić swoje poglądy. By uwierzyć, że mogę być kimś innym niż dokładnie taką kobietą, jaką chciał we mnie widzieć. Ale gdy wróciłam do domu, ucieszył się.

Bała się, że okaże jej niechęć. Że odwróci się od niej.

- Rozmawialiśmy - kontynuowała. - Po raz pierwszy. Niewiele, ale to był jakiś początek. I potem nie mogłam go już zostawić. Był wszystkim, co miałam. Uświadomiłam sobie, jak bardzo mi go brakowało. Jak bardzo brakowało mi rodziny. Nawet jeżeli na tę rodzinę składaliśmy się tylko my dwoje. Wtedy po raz pierwszy przestałam planować. Będąc z ojcem przez cały czas, najpierw w szpitalu, potem w domu, byłam zmuszona się zatrzymać i pomyśleć o tym, co już osiągnęłam i czego mi brakuje i - wzruszyła ramionami - odkryłam, że nie chcę już być Alice Maruyama, artystką i kobietą interesów.

Taka była prawda. Ale Ally zamilkła, sama zdziwiona, że tyle o sobie powiedziała. Spojrzała na Petera, żeby zobaczyć jego reakcję. Nie poruszył się, tylko na nią patrzył. Wreszcie skinął ręką, by mówiła dalej.

Zawsze skupiał na niej uwagę, słuchał.

- I rozmawialiśmy, tato i ja, o rodzinie. O naszych stosunkach. - To było trudne. Ani ona, ani ojciec nie potrafili mówić o uczuciach. - Uświadomiłam sobie, ilu rzeczy mi w życiu brakowało. I ile będzie mi brakować, jeżeli wyjadę. Wtedy poznałam Jona.

- I zakochałaś się w nim - powiedział Peter, a w jego głosie wyczuła niechęć.

- I zakochałam się w nim - potwierdziła. - Dlaczego miałabym się nie zakochać? Jon jest wspaniały.

Peter sprawdził steki. Skoncentrował uwagę na mięsie, poprawił ułożenie zawiniętej w folię kukurydzy. Może po prostu nie wiedział, co powiedzieć?

- Pomóc ci? - spytała. - Zrobię sałatkę.

- Dobrze. Użyj wszystkiego, co kupiłem i co znajdziesz w lodówce. I włóż chleb do piekarnika. Będzie gotowy razem ze stekami.

Zadowolona, że ma coś do roboty, pospieszyła do kuchni. Od czasu do czasu spoglądała przez okno na Petera, który w milczeniu pilnował grilla. Z jednej strony wydawało się to takie naturalne. Mąż i żona przygotowujący razem kolację. Z drugiej jednak, to spokojne wspólne gotowanie, jakby byli zwykłą parą małżeńską, było czymś surrealistycznym.

Otworzyła szafki w poszukiwaniu talerzy. Kuchnię miał oszczędnie, ale rozsądnie wyposażoną. Widać było, że gotowanie nie jest mu obce. Czy często to robi? A może przychodzą tu jego przyjaciółki i gotują dla niego?

Rozbłysła jej w głowie wizja Annie Cannavaro.

Ally opowiedziała mu o Jonie, nie usłyszała jednak ani słowa o kobietach w jego życiu. Artykuł w gazecie podkreślał, że jest ich mnóstwo, ale nie wymieniał żadnej wyjątkowej. Czy odpowie, jeżeli ona zapyta?

Nie dał jej szansy. Gdy wrócił do kuchni ze stekami, poprosił od razu:

- Opowiedz mi, jak doszło do tego, że projektujesz materiały. W dawnych czasach wiedziałem, że próbujesz swoich sił, lecz zdziwiłem się, gdy zajęłaś się tym zawodowo.

Wydawał się naprawdę zainteresowany, więc wyjaśniła:

- W Kalifornii poszłam na studia i znalazłam pracę w sklepie bławatnym. Miałam dostęp do tkanin, więc spróbowałam. Eksperymentowałam.

Rozłożyli potrawy na talerzach i usiedli. Peter nalał Ally nowy kieliszek wina, a sobie wziął drugie piwo.

- Rozumiem. Eksperymentowałaś. Ja robiłem to samo z surfingiem. Opowiadaj. Słucham. - Gdy się zawahała, dodał: - Al, mamy dziesięć lat do nadrobienia. Dziesięć lat, minus jedna noc. Pobędziemy tu jeszcze chwilę. Więc mów. Chyba że jesteś...

- Tchórzem? - dokończyła za niego z porozumiewawczym uśmiechem.

- Coś w tym rodzaju.

Jeszcze raz się uśmiechnęła i kontynuowała. Może go zanudzi tak bardzo, że podpisze papiery. Ale on nie tylko się nie nudził, lecz wprost zasypywał ją pytaniami.

- Bałaś się? - zapytał, gdy opowiadała o początkach, o tym, jak zakładała pierwszy sklep.

- Czy tchórzyłam? - upewniła się z krzywym uśmieszkiem.

- Nie. Czy miałaś treść.

- Tak, czułam się tak, jakbym leciała w kosmos. - Przypominała sobie teraz tamte ciężkie chwile, gdy była zupełnie sama i sprawdzała, do czego jest zdolna, co lubi, a czego nie, kim jest naprawdę. Bo do tej pory widziała siebie właściwie tylko jako niezbyt posłuszną córkę swojego ojca.

Przez ten czas nie miała nikogo bliskiego, kto by się nią interesował na tyle, by zadawać pytania.

Nawet gdy wróciła do domu, pytań było mało. Ciotka Grace ją pochwaliła, ojciec był za bardzo chory, by go to ciekawiło. Cieszył się tylko, że znowu jest z nim.

Potem poznała Jona. Jemu przynajmniej wszystko, co robiła, wydawało się wspaniałe. Był z niej dumny, ale sam miał tyle pracy, że brakowało mu czasu na wysłuchiwanie jej. A Ally wiedziała, że ratowanie ludziom życia jest



o wiele ważniejsze niż jej „szycie”, chociaż nigdy jej tego nie powiedział. W ogóle niewiele mówił.

Tymczasem Peter pytał i pytał. A ona opowiadała.

Może tak się rozgadała, bo była dumna z tego, co osiągnęła. Albo dlatego, by mu udowodnić, że naprawdę skorzystała z szansy, jaką jej stworzył, żeniąc się z nią. Albo żeby zrozumiał, że nie jest już tą szorstką, niedojrzałą kobietą, jaką była pięć lat temu. A może, przyznała to przed sobą, dlatego, że w końcu miała przed sobą kogoś, kto naprawdę chciał jej wysłuchać.

Gdy skończyli jeść, uświadomiła sobie, że od lat tyle nie mówiła. Natomiast Peter prawie się nie odzywał. Siedział, popijając piwo, huśtał się na krześle i tylko na nią patrzył.

W końcu przestała opowiadać.

- Wystarczy o mnie. Teraz opowiedz mi o sobie.
- Czytałaś artykuł. - Wstał i zaczął zbierać talerze ze stołu.
- A ty powiedziałaś, że to zwykłe ple-ple-ple.
- Podstawowe rzeczy opisali właściwie. Chcesz jeszcze wina?
- Nie, dziękuję. - Lepiej za dużo nie pić. - Więc nic mi o sobie nie

powiesz? - nalegała.

- Pracuję. Trochę gram w softball. Gdy mam wolny weekend, jadę na Long Island i surfuję.

- Czyli właściwie żyjesz jak mnich?
- Coś w tym rodzaju - mruknął z uśmiechem.

Ally przewróciła oczami. Nie tak to opisywał artykuł w „Star”. Ale zanim zdążyła zadać kolejne pytania, rozległ się dzwonek do drzwi.

- Kto to może być? - zdziwił się Peter. - Zaraz się go pozbędę.

Ally wiedziała, że powinna już iść. Peter nie da się teraz przekonać do podpisania papierów. A siedzenie tutaj, w tej przyjaznej atmosferze, nie było dobrym pomysłem. Zaczynała się z nim czuć tak samo swobodnie jak kiedyś.

Usłyszała głosy z bawialni. Widocznie Peter nie zdołał pozbyć się intruza.

- ...Na litość boską, nie wierzę w ani jedno słowo! - zawołała jakaś kobieta, i już stała w drzwiach kuchni, wpatrując się w Ally.

Wyglądała jak wróżka, miała około trzydziestki, czarne włosy i najpiękniejsze, wymowne, ciemne oczy, jakie Ally kiedykolwiek widziała.

Potem kobieta skierowała pałające spojrzenie ku Peterowi.

- Chcesz powiedzieć, że to prawda? Rzeczywiście masz żonę?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Mówiłem ci...

Ale kobieta mu przerwała:

- Ty często mijasz się z prawdą. - Wyrzuciła to z siebie tak gwałtownie, że Ally zamrugła.

- Więc jesteś żoną Petera?

Tak wyraźne powątpiewanie w jej głosie, wprost wyzwanie, spowodowało, że Ally zerwała się na równe nogi.

- Tak. A ty kim jesteś?

Jedno wiedziała: jeżeli ta brunetka o rzeźbionych kościach policzkowych, szkarłatnych ustach i szorstkim sposobem bycia jest jedną z kobiet w życiu Petera, ona, zanim odejdzie, musi go uratować przed jej zaborczymi pazurkami.

Kobieta zamrugła, jakby zdziwiło ją to pytanie.

- Ja? Jestem Cristina.

- Moja siostra, niech mnie Bóg wspomóż - wyjaśnił Peter.

- I mnie też - zripostowała Cristina.

Zanim Ally zdołała się otrząsnąć, rozległ się suchy męski głos:

- Bóg powinien przede wszystkim wspomóc matkę tych dwojga. - I do kuchni wszedł mężczyzna około trzydziestki z chłopcem w wieku przedszkolnym. - Wyobraź sobie, co musiała przeżywać przy takich bliźniętach.

Bliźnięta? Rzeczywiście, Peter kiedyś mówił, że ma siostrę bliźniaczkę. Ale nie byli do siebie podobni. Peter był wysoki, Cristina niska. Ona miała piwne oczy, on zielone. Jedynym podobieństwem były czarne włosy.

- Jestem Mark, mąż Cristiny - przedstawił się mężczyzna. W przeciwieństwie do żony, spokojnie przyjął do wiadomości istnienie Ally. - A to Alex. - Połaskotał synka.

- Ally. - Podała mu rękę, uśmiechnęła się i mrugnęła do chłopczyka. Alex był podobny do wujka. Peter musiał tak właśnie wyglądać w dzieciństwie. Zbyt słodki dla własnego dobra. - Alice Maruyama... Antonides.

Cristina, słysząc to, parsknęła pogardliwie.

- I skąd właściwie się tu wzięłaś?

- Cristino, postaraj się zachowywać uprzejmiej - skarcił ją Peter. - Ally przyjechała z Hawajów. - Rzucił siostrze tak ostre spojrzenie, że na chwilę zamilkła, i mógł kontynuować: - Napijcie się wina? Piwa? Przyszliście w samą porę na deser. Mamy ananasy.

- Nie zmieniaj tematu. - Cristina przyglądała się Ally jak orzeł wypatrujący ofiary. - Jeżeli to jest twoja żona...

- To jest moja żona.

- To chcę wiedzieć o niej wszystko. Nie uwierzyliśmy mu - zwróciła się do Ally - gdy powiedział, że jest żonaty. Myśleliśmy, że próbuje w ten sposób unikać kobiet, które mama i tato ciągle mu przedstawiali.

- Cristina!

- Poproszę piwo - wtrącił się Mark. - A ty siadaj - nakazał żonie. - Przez ciebie Ally czuje się nieswojo.

- To dobrze - powiedziała szczerze Cristina. - Jeżeli nie ma nic do ukrycia, nic jej się nie stanie.

- Co mogłaby ukrywać? - zdziwił się Mark.

- Kto to może wiedzieć? Gdzie była. Co robiła. Dlaczego teraz przyjechała. Może chce pieniędzy?

- No, na pewno nie przyjechała wiedziona pragnieniem poznania swoich źle wychowanych powinowatych. - Mark uśmiechnął się. - Cristina potrafi być odrobinę zbyt... opiekuńcza.

- Wydaje jej się, że sam nie potrafię rozgrywać swoich bitew - dodał sucho Peter, podając szwagrowi piwo.

- Bo jestem starsza od ciebie - powiedziała Cristina z wyższością.

- Ha! Cztery minuty.

- I jestem zamężna.

- A ja jestem żonaty.

- Co jest zdumiewające, ale wydaje się prawdą. Przynajmniej w końcu wyczarowałeś jakąś żonę.

- Nie wyczarowałem. Ożeniłem się z nią.

- Ale nigdy z nią nie mieszkałeś. Ja natomiast mieszkam z moim małżonkiem, mam dziecko. Więc jestem o wiele bardziej doświadczona, jeśli chodzi o życie małżeńskie niż ty - wyjaśniła z dumnym uśmiechem. - I troszczę się o ciebie. Więc idź do ogrodu pogadać z Markiem o jego podróży. Albo o baseballu. Albo łodziach. I daj mi wypełnić mój siostrzany obowiązek. Idźcie już! - zawołała, gdy mężczyźni się nie poruszyli.

Mark spojrział na Petera.

- To twoja wina.

- Nie zapraszałem jej.

- Zupełnie jakby można było ją utrzymać z daleka, gdy się dowiedziała, kogo gości. - Mark roześmiał się. - Wiesz, jaka ona jest, gdy się przy czymś uprze. Może lepiej pozwolić jej robić, co chce.

Jak się dowiedzieli o mojej obecności? - zastanawiała się Ally, ale nie zapytała.

- Idźcie - powiedziała do Petera. - Z przyjemnością porozmawiam z twoją siostrą.

Peter chwilę jej się przyglądał. Ally stanowczo pokiwała głową.

- Postaraj się nie odstręczyć mojej żony - przykazał siostrze.

- Jakbym mogła coś takiego zrobić... - rzuciła Cristina obrażonym tonem.

- Mogłabyś, gdybyś uważała, że tak będzie dobrze. A ja ci mówię, że masz tego nie robić.

Brat i siostra patrzyli na siebie wyzywająco. Obecność Cristiny wydobyła na jaw taką stronę osobowości Petera, jakiej Ally nigdy nie poznała. Nie wydawał się specjalnie wzburzony, lecz ostrożny, owszem. Chyba nie do końca jej ufał.

Natomiast Ally nie przejmowała się. Niemal z radością przyjęła konieczność konfrontacji. Gdy dowiedziała się, kim jest ta kobieta, jej napięcie opadło. Poza tym była ciekawa. Nie spodziewała się, że Peter powie rodzinie o swoim małżeństwie. A jednak to zrobił.

Intrygowała ją też Cristina. Nigdy nie poznała nikogo z jego krewnych. Wiedziała tylko, że dorastał w bardzo licznej, hałaśliwej grecko-amerykańskiej rodzinie.

- Nigdy nie mogłem być sam - mówił jej. - Nawet łonem matki musiałem się dzielić. A w domu ani przez chwilę nie było cicho. Cristina cały czas gadała, spałem z braćmi. Nigdy nie miałem przestrzeni dla siebie.

Ally, która miała w życiu za dużo samotności, ciszy i przestrzeni, zazdrościła mu tego.

Jeżeli Cristina kiedyś słyszała takie słowa jak dyskrecja albo takt, na pewno dawno je zapomniała. Twardo żądała odpowiedzi na pytania, gdzie Ally i Peter się poznali, kiedy się pobrali i dlaczego.

- Nie pytałabym dlaczego - powiedziała otwarcie - bo to powinno być oczywiste. Jesteś piękna, a on zawsze miał słabość do pięknych kobiet. Ale jeżeli dlatego wzięliście ślub, nie pozwoliłby ci odejść. Więc... dlaczego?

Prawdziwe zainteresowanie i troska malujące się na jej twarzy sprawiły, że Ally postanowiła jej to wyjaśnić. Nigdy nikomu, prócz ojca i Jona, nie powiedziała, że ma męża. Cristina była lojalna wobec brata, kochała go.

Tak więc Ally zaczęła opowiadać.

- Ojciec nie pozwalał mi decydować samej o moim życiu ani stać się tym, kim chciałam być. Musiałam wyjechać, odkryć, kim jestem. Jednak nie mogłam tego zrobić bez pieniędzy z legatu babci. A nie mogłam dostać tych pieniędzy bez małżeństwa - zakończyła.

- Więc Peter się z tobą ożenił! - Cristina z zachwytu aż klasnęła w ręce, oczy błyszczały jej z radości. Cały sceptycyzm i nieufność rozplynęły się bez śladu. Chwaliła determinację Ally i to, co zrobił brat. - Co za wspaniała historia! A Peter to prawdziwy bohater. Powinnam była wiedzieć, że nigdy nie postąpi głupio.

Nawet nie winiła Ally za to, że go wykorzystała, by osiągnąć swoje cele.

- Obwiniać cię? - wykrzyknęła, gdy Ally ją o to spytała. - Nie miałaś innego wyjścia. I co zrobiłaś potem?

Ally opowiedziała jej i o tym. A gdy mówiła, jak skorzystała z oferty Petera, by dostać swój spadek, wyjechać, uczyć się i pracować, Cristina nie tylko nie miała jej tego za złe, lecz stanęła po jej stronie.

- Oczywiście, że nie mogłaś zostać. Musiałaś wyjechać. Odnaleźć siebie. Peterowi na pewno było przykro, ale wiedział, że musi pozwolić ci odejść.

- Nie sądzę, by mu było przykro.

- Oczywiście, że tak. Jesteś wszystkim, czego szukał w kobiecie.

Ally zaczerwieniła się.

- Wtedy nie byłam taka. Zresztą on nie był gotowy do małżeństwa.

- Chcesz powiedzieć: dorosły, odpowiedzialny i tak dalej? - Cristina zamyśliła się na chwilę. - Dziesięć lat temu był dzieciakiem. Pamiętam, jak się zachowywał przed wyjazdem: humorzasty, obojętny, ledwie mógł się doczekać samodzielności. Niezależny do obrzydliwości. Tak, on też potrzebował czasu i przestrzeni, by się odnaleźć. Ale teraz... Teraz dojrzał. Oboje dojrzeliscie.

- Tak. - Ally cieszyła się, że siostra Petera to rozumie. Teraz mogła jej wyjaśnić, po co przyjechała. Że nadszedł czas, by ich drogi się rozeszły.

- I tak wróciłaś do niego. - Cristina westchnęła z zadowoleniem. - To taaakie romantyczne. Kto by pomyślał, że Peter jest romantykiem?

- Nie jest! - wybuchnęła Ally.

Cristina spojrzała na nią, zdumiona tą gwałtownością. Ale zaraz się roześmiała.

- Może i nie. Tyle że, jeżeli nie jest romantyczny, po co prosiłby Marthę, żeby namalowała mu ten fresk? - Skinęła ręką w stronę bawialni. - Nie rozumieliśmy, o co mu chodzi. Dopiero teraz to ma sens. Wierz mi, pod tą chłodną powłoką jest romantykiem. I ty też.

Był tylko jeden raz, gdy Ally czuła się romantycznie. Tamtej nocy, którą spędziła w ramionach Petera. Przedtem i potem była realistką. Robiła, co musiała. Nadal tak postępowała. Teraz też była realistką, prosząc o rozwód, zamiast żądać rzeczy niemożliwych.

Była realistką, wybierając na męża Jona, który chciał tego samego co ona. Uświadomiła sobie, że mimo wszystko jest taką córką, jaką ojciec chciał w niej widzieć.

- Ja też nie jestem romantyczką - powiedziała Cristinie.

Nie zgodziła się z tym.



- Czyż nie jest objawem romantyzmu to, że stanęłaś na jego progu? -  
Roześmiała się. - To najbardziej romantyczna rzecz, jaką potrafię sobie wyobrazić.

- Nie zamierzałam...

Cristina pochyliła się do Ally i ściszyła głos, jakby jeszcze ktoś inny mógł ją usłyszeć.

- Wiem. Nie chcesz go śmiertelnie przerazić. Mężczyźni potrafią strasznie panikować. Ale, mówiąc szczerze, wybrałaś najlepszy czas. Peter, niezależnie od tego, co o tym myśli, jest teraz gotowy do małżeństwa. Ustatkował się. I uwielbia dzieci. Powinnaś go zobaczyć z bratankami i siostrzeńcami. Będzie cudownym ojcem. A ty chcesz mieć wkrótce dzieci?

Ally zaczerwieniła się jak piwonia.

- Nie... to znaczy - nie!

- Szkoda. Zresztą to nie moja sprawa. Wystarczy, że wróciłaś. A będzie, co będzie, prawda?

- Tak... - udało się Ally wykrztusić.

Musi powiedzieć Cristinie, po co naprawdę przyjechała.

Ale jakoś słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Bo to nie powinno wyjść od niej, tłumaczyła sobie. O tym powinien oznajmić Peter. To on powiedział siostrze, że się ożenił. I on musi jej powiedzieć o rozwodzie.

A gdy kiedyś będzie miał dzieci, gdy będzie dla nich cudownym ojcem, te dzieci nie będą jej. Zabolą ją ta myśl.

- Mama i tato są tacy szczęśliwi - mówiła dalej Cristina. - Mama nie może się doczekać, kiedy cię pozna.

Co takiego? Ally wróciła do rzeczywistości.

- Och, nie!

Cristina zdziwiła się.

- Nie będziesz mogła się trzymać z daleka. Była taka podekscytowana, gdy usłyszała, że wreszcie się odnalazłaś. Powiedziała, że zawsze wierzyła Peterowi, gdy mówił, że się ożenił. Tato nie. Nawet myślał, że sfabrykował świadectwo ślubu. Ale mama wierzyła. I *Yiayia*, nasza babcia też. Powiedziała, że nie skłamałby w tak ważnej sprawie.

Powiedział im? Pokazał im świadectwo ślubu?

Ally była wstrząśnięta.

- Nie, to nie tak!

- O co ci chodzi? Mówiłaś, że jesteście małżeństwem.

- Bo jesteśmy. Na razie - powiedziała w końcu.

- Och, boisz się, że po tylu latach możesz mu się nie podobać? Nie martw się. Jesteście pokrewnymi duszami. Wszystko będzie dobrze.

Ally już chciała jej powiedzieć o rozwodzie, ale znów słowa nie przeszły jej przez gardło. To Peter musi zawiadomić rodzinę.

Cristina poklepała ją po ręce.

- Naprawdę się nie martw. Wszystko się ułoży. Chociaż ojciec może w pierwszej chwili się zdenerwować.

- Co twój ojciec ma z tym wspólnego?

- On ciągle próbuje wyswatać Petera z Connie Cristopolous. Zaprosił całą ich rodzinę na weekend. Będzie wielki spęd, my też tam jedziemy. Przewiduje się utuczonego cielca, albo raczej, w tym wypadku, jagnię ofiarne. A przynajmniej przewidywało. Bo tym jagnięciem miał być Peter. - Cristina się roześmiała. - Jednak teraz, skoro przyprowadza żonę, nie ma się już czym przejmować.

- Nie jestem...

- Biedny tato - westchnęła Cristina z rozkoszą. - Dobrze mu tak.

Powinien był uwierzyć Peterowi. Może będzie przez chwilę niezręcznie, ale

tato w końcu będzie zachwycony, mając żonatego syna. I do tego nie musiał organizować wesela. O wiele bardziej woli żeglować i grać w golfa.

Zanim Ally pomyślała, co na to odpowiedzieć, wszedł Mark, niosąc Aleksa. Za nim szedł Peter.

- Ktoś musi już iść do łóżka - oświadczył Mark.

- Tak. I powinniśmy zostawić tych dwoje samych - dodała Cristina.

Podeszła do brata i wspięła się na palce, by pocałować go w policzek. - Lubię twoją żonę - powiedziała. - Bardzo ją lubię.

Idąc już do wyjścia, jeszcze się odwróciła.

- Ally, chcę się dowiedzieć więcej o twojej sztuce. I projektach ubrań.

Wydaje mi się fantastyczne, że się tym zajmujesz, a jeszcze nawet nie zaczęłyśmy o tym mówić. Opowiesz mi wszystko podczas weekendu.

- Jakiego weekendu?

- Och, wiem, każdy będzie chciał cię zagarnąć dla siebie, ale tak czy owak, porozmawiamy.

- Ja nie...

- Przyjeżdżacie w piątek? - Cristina zwróciła się do brata.

- Tak.

- Nie! - zaprzeczyła Ally.

- Jeszcze o tym dyskutujemy - wtrącił zrecznie.

Cristina roześmiała się i poklepała go po policzku.

- Miłej dyskusji. Do zobaczenia u rodziców.

- Tak - powiedział.

- Nie! - krzyknęła Ally.

- Och, ale będzie zabawa - stwierdziła uszczęśliwiona Cristina.

Impulsywnie podbiegła do Ally i ją ucałowała. - Jestem bardzo szczęśliwa z waszego powodu. Witaj w rodzinie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie! - wybuchnęła Ally, gdy tylko drzwi zamknęły się za gośćmi. - Nie pojedę do twoich rodziców!

- Al...

- Nie! Celowo to zrobiłeś! Zaplanowałeś to. Zaprosiłeś siostrę, żeby wyciągnęła wszystkie niewłaściwe wnioski, i żeby przyprzeć mnie do ściany. Wydawało ci się, że w ten sposób będę się czuła zobowiązana, by jechać z tobą do twoich rodziców. No więc nie pojedę!

- Nie zapraszałem siostry.

Ally parsknęła pogardliwie.

- Więc skąd wiedziała, że tu jestem?

- Miałem iść do nich na kolację. Musiałem odmówić.

- I po prostu wspomniałeś...

- Nawet z nią nie rozmawiałem. Poprosiłem Rosie, żeby do niej zadzwoniła.

- A Rosie po prostu wspomniała...

Wzruszył ramionami.

- Jeżeli nawet tak, możesz obwiniać tylko siebie, nie mnie. Kto przyszedł do mojego biura i przedstawił się jako moja żona?

Ally zazgrzytała zębami.

- W moim biurze cenimy sobie dyskrecję.

- W moim cenimy ludzi - stwierdził spokojnie, rozwścieczając ją jeszcze bardziej. Miał rację. Sama oświadczyła sekretarce, że jest jego żoną.

- Co powiedziałaś Cristinie? - Peter zmienił temat.

- Prawdę.

- Że przyjechałaś załatwić rozwód? Ale ona nie...

- Powiedziałaś jej prawdę o powodach, dla których się pobraliśmy. I o moim władczym ojcu, który miał dla mnie inne plany. O tym, że chciałam się odnaleźć w życiu. O spadku po babci. Uznała, że jesteś bohaterem.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się radośnie. - Szkoda, że tego nie nagrałaś, bo nic takiego nigdy się już nie powtórzy.

- Jest ci bardzo oddana. O wiele bardziej, niż ci się wydaje. I taka opiekuńcza wobec ciebie.

- Wtrąca się - sprostował.

- Kocha cię. - Ally zazdrościła im tej rodzinnej bliskości. Ona nigdy tego nie zaznała. - Uważa, że to, co zrobiłeś, było najbardziej romantycznym czynem, o jakim kiedykolwiek słyszała.

Peter roześmiał się.

- Rzuciłaś na nią czar. Dobrze sobie poradziłaś.

- Gdybym naprawdę dobrze sobie poradziła, nie myślałaby, że zostaję.

- Więc dlaczego jej tego nie powiedziałaś?

- Bo wydaje mi się, że to ty powinienesz poinformować rodzinę.

- Ja?

- Ty im powiedziałeś, że się ożeniłeś. Teraz musisz im powiedzieć, że się rozwodzisz.

- To nie ja się rozwodzę. Ty chcesz rozwodu.

Niech to licho! Znów wrócili do początku.

- Okej. Ja się rozwodzę! W każdym razie wydawało mi się, że nie byłbyś zadowolony, gdybym natychmiast ogłosiła, że przyjechałam tu po rozwód.

Zresztą Cristina nie spytała, po co przyjechałam. Ona zwyczajnie pomyślała...

Nie przyszło jej do głowy, że mogę nie pojechać z tobą na weekend.

- Wyobrażam sobie.

- Mogłeś jej powiedzieć, że nie jadę.
- Ale ja chcę, żebyś pojechała.
- Co? - Popatrzyła na niego zdumiona. - Och, daj spokój.
- Dlaczego nie? To spotkanie rodziny. Twojej rodziny.
- To nie jest moja rodzina.

- Z punktu widzenia prawa jest. Powinnaś jechać. Pozwolić, żeby cię poznali. Udowodnić, że to jest rzeczywiste. Że naprawdę istniejesz. I - dodał z uśmiechem - uwolnić mnie od Connie Cristopolous.

- Sam możesz się uwolnić.
- Kiedyś wyświadczyłem ci przysługę.

Stwierdzenie faktu? Pretensja? Ally poruszyła się niespokojnie.

- Niech cię szlag! Nie powinnam była przyjeżdżać. Trzeba było wysłać te cholerne papiery pocztą. - Odwróciła się i zaczęła przemierzać pokój, wściekła, że dała się złapać w pułapkę. Wiedziała, że nie ma wyboru. Ale jeszcze spróbowała jakoś się z tego wykręcić. - To nie jest dobry pomysł. Wyjazd do twoich rodziców tylko wszystko jeszcze bardziej pogorszy. Jeżeli pojedę z tobą, będą się spodziewać, że potem zostaniemy razem. I będą zrozpaczeni, gdy im powiesz, że się rozwodzimy.

- Po co miałbym im to mówić?
- Bo się rozwodzimy! Ja się rozwodzę! - poprawiła się.
- Ale ja nie chcę rozwodu.

- Do licha! - Miała ochotę skrócić mu kark. - Dlaczego nie? I nie opowiadaj, że boisz się Connie Cristopolous i wolisz pozostać żonaty, by rodzice nie mogli ci jej wepchnąć w ramiona.

- No, to może być jeden z powodów.
- Jasne! - powiedziała gorzko. - Po prostu chcesz robić trudności.
- Właściwie to nie.

- Tak! Bardzo żałuję, że przyjechałam do ciebie. A teraz wychodzę. -  
Chwyła torebkę i ruszyła do drzwi.

Zastąpił jej drogę.

- Nie spiesz się tak.

- Po co miałabym zostać? I tak do niczego nie dojdziemy.

- Może moglibyśmy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Poznajemy się od nowa.

- Tylko dowiadujemy się, czego każde z nas chce - powiedziała szorstko.

- Peter, wystarczy! Wiem, że wszystko załatwiłam źle. Powinnam była doprowadzić do rozwodu, zanim sprawy z Jonem zaszły tak daleko. Ale nie miałam pojęcia, gdzie jesteś. I nie myślałam, że będę tak szybko potrzebowała rozwodu. A tu zdarzyła się choroba ojca, co przyspieszyło wypadki. Zupełnie jakby Jona i mnie połączyło przeznaczenie.

- Jona i ciebie - powtórzył kpiąco. - Jeżeli naprawdę tak cię kocha, gdzie jest teraz? Dlaczego z tobą nie przyjechał?

- Bo jest zapracowany. Na miłość boską, to lekarz! Nie ma czasu na szwendanie się po świecie i szukanie mojego wkrótce-byłego męża!

- A dla ciebie ma czas?

- Oczywiście, że tak! Bierze sobie wolne, gdy jestem na Hawajach. Robi to dla mnie. - Mówiła prawdę. Bez niej Jon zatraciłby się w pracy. - Kocha mnie. Ja go kocham. I chcemy się pobrać, mieć dzieci, dać mojemu tacie wnuki. Tato jest bardzo słabego zdrowia, a pragnie jeszcze doczekać wnuków. Czas ma w tym wszystkim wielkie znaczenie.

- Więc wróć do mnie. My zaszliśmy już dalej na drodze do posiadania pełnej rodziny.

- Co takiego? - Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Już jesteśmy małżeństwem. Nie będziemy musieli tracić czasu. Nie musimy czekać, aż będziesz wolna. Moglibyśmy szybko mieć dzieci. Dać twojemu ojcu wnuki. Co ty na to?

Chciało jej się krzyczeć.

I gorzej - jakaś drobna, bezrozumna część jej umysłu chciała zawołać: Tak!

Bo wiedziała, że gdyby on powiedział to samo dziesięć lat temu, chociaż miało to być jedynie małżeństwo z rozsądku, odrzuciłaby to, co dyktował jej zdrowy rozum; odrzuciłaby ostrożność i uwierzyłaby, że ich małżeństwo może się udać.

Bo wtedy, tej jednej nocy, ośmieliła się sądzić, że może Peter naprawdę ją kocha.

Ale dziś? Dzisiejszy Peter bawił się nią.

Och, nie wątpiła, że chce, by z nim pojechała do jego rodziców. Ułatwiłoby mu to sprawy z ojcem, a Connie przekonałaby się, że naprawdę jest żonaty. I może woli pozostać żonaty, żeby uniknąć wszelkich przyszłych kłopotów z ojcem. Ale nie było w tym miłości.

- Niemal chcę z tobą pojechać - warknęła. - A potem wrócić na Hawaje i tobie zostawić wszystko do rozplątania. Dobrze by ci to zrobiło. Twoja matka już wie, że jestem tutaj. Wiedziałeś o tym?

- Nie. Ale wcale mnie to nie dziwi. Cristina nie potrafi niczego utrzymać w sekrecie.

- A spodziewałeś się tego po niej?

- Właściwie to nie.

To już była ostatnia kropla. Wszystko sobie zaplanował, manipulował nią przez cały wieczór.



Ułożył sprawy tak, by porozmawiała z Cristiną; liczył na to, że siostra powie matce. Chyba miała szczęście, że pani Antonides również tu dziś nie wparowała.

- Dobrze. Pojadę. Chcesz, żebym poznała twoich rodziców, więc pojadę z tobą i ich poznam. Będę twoją żoną przez weekend. Będę słodka i urocza. Ale potem zostajesz sam. Szale się wyrównają. Ty wyświadczyłeś mi przysługę. Ja wyświadczam ją tobie. A potem występuję o rozwód!

Nie poszło najlepiej, pomyślał.

Stał przed hotelem na Manhattanie, do którego właśnie odprowadził Ally. Prosił ją, by została u niego, ale się nie zgodziła.

- Dlaczego nie? - namawiał ją. - Możemy równie dobrze już zacząć, skoro i tak będziemy razem przez jakiś czas.

W czarnych oczach Ally rozpały się ognie.

- Niczego nie zaczynamy. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. To tylko jeden weekend. Nic więcej.

Mimo że nie widział Ally przez tyle lat, wiedział, kiedy się wycofać. Spojrzenie na jej twarz powiedziało mu, że na razie więcej nie osiągnie.

Uparł się, by odprowadzić ją aż pod drzwi pokoju.

- Nie ma potrzeby. Ale skoro nalegasz... Jednak nie spodziewaj się, że zaproszę cię do środka.

Jeżeli w ogóle nauczył się czegoś w ciągu tych lat, jakie spędził na plaży, to tego, jak cierpliwie czekać, aż nadejdzie właściwy moment. Oceanu nie da się przynaglić. Gdy jesteś w wodzie i surfujesz, nie uda ci się, jeśli będziesz chciał kontrolować fale. Przyjmujesz odpowiednią pozycję i obserwujesz, czekasz. Uczysz się ostrożności i cierpliwości. I wyliczania czasu.

I tak samo jak nie mógł pchnąć fal, wiedział, że nie może popychać Ally Maruyamy.

- Przyjadę po ciebie w piątek w południe - powiedział, żegnając się z nią pod jej drzwiami.

- Nadal myślę, że to bez sensu. Jak potem wyjaśnisz wszystko rodzinie? Nie wiesz, w co się pakujesz.

Wiedział bardzo dobrze. Nie sądził jednak, by Ally to wiedziała.

- Jeżeli będziesz się nudzić, zadzwoń do mnie jutro - zaproponował.

- Nie będę się nudzić. Umówiłam się z właścicielką galerii.

- Którą?

- Gabriellą del Castillo. Wystawiła kilka moich prac w Santa Fe.

Słyszał to nazwisko od siostry. Martha rozpływała się nad nią w zachwytach.

- Zorganizuje ci tu wystawę?

- Jutro się dowiem. Jeszcze raz dziękuję za kolację - powiedziała tonem dobrze wychowanej dziewczyny, jaki zapamiętał z dawnych czasów. - I za zapoznanie mnie z twoją siostrą - dodała z lekkim przekąsem.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oświadczył, uśmiechając się wesoło.

- No to dobranoc.

- Dobranoc - odparł równie uprzejmie, ale gdy już zamykała drzwi, powstrzymał ją. - Ally...

- O co chodzi? Mówiłam, że cię nie zaproszę. Mam jeszcze pracę, chcę zadzwonić do Jona, przemyśleć kilka spraw. Czego chcesz?

- Po prostu - zawahał się sekundę - tego.

Chwycił ją w ramiona i pocałował.

Nic takiego sobie nie zaplanował. Zresztą zazwyczaj najpierw coś robił, a potem dopiero myślał. Wierzył w impuls, działanie pod wpływem chwili, życie na pełnym gazie. Zawsze tak było. I pewnie zawsze będzie.

Czasami wpędzało go to w tarapaty.

Krótkie cmoknięcie wtedy, gdy przyszedł po nią na stację metra, dało mu tylko przedsmak. Ale podnieciło apetyt, wzbudziło wspomnienie tamtej nocy.

Czekał na to dziesięć lat.

I teraz to miał. Miał jej usta pod swoimi wargami. Oporne, zaciśnięte. Muskał je językiem, drażnił, aż wreszcie mógł się nimi rozkoszować, gdy rozchyliły się w oddechu.

Nie pozwolił jej mówić. Nie chciał słyszeć, co ma do powiedzenia.

Im bardziej osaczały go wspomnienia, tym mocniej topniała w jego ramionach. Pragnął jej! Potrzebował!

I wiedział, że ona też go pragnie. Pogłębił pocałunek.

Ale w tej samej chwili Ally wyrwała się z jego ramion, odskoczyła do tyłu, oczy miała szeroko otwarte, policzki jej pałały. Chwyliła się drzewi tak mocno, że zbieleły jej palce.

- To - powiedziała lodowato - było całkiem nie na miejscu.

Powoli pokręcił głową.

- Naprawdę? - Serce tak mu waliło, że ledwo mógł mówić. - Nie sądzę. - Udało mu się uśmiechnąć, chociaż krzywo. - Powiedz o tym Jonowi, gdy będziesz z nim rozmawiać. - Odwrócił się i odszedł.

- Niezbyt dobrze było słyszeć wiadomość, jaką zostawiłaś w poczcie głosowej - powiedział Jon. - Mówiłaś, że zostajesz dłużej?

Dzwonek telefonu obudził Ally. Spojrzała na zegarek. Wpół do dziesiątej? Nigdy nie sypiała tak długo. Ale też nigdy nie leżała bezsennie przez pół nocy, zastanawiając się, czy już całkiem straciła rozum.

Bo zeszłego wieczoru zdecydowanie tak się stało!

Gdy Peter odszedł, zatrzasnęła drzwi, założyła łańcuch, i oparła się o nie, dysząc tak, jakby przebiegła trasę maratonu. Zresztą nawet maraton miałby więcej sensu niż to, co zrobiła.

Na pocałunek Petera nie była przygotowana. Ani na jego odmowę podpisania papierów rozwodowych. Ani na jego siostrę. Ani na własną zgodę, by pojechać do jego rodziców.

A zwłaszcza nie na jego pocałunek.

Dobry Boże! Co to był za pocałunek!

Myślała, że jest bezpieczna. I to był błąd. Wielki, ogromny błąd.

Przez całą noc, gdy tylko zamykała oczy, ten pocałunek powracał. To, jak jego usta obudziły do życia jej usta. To było odczucie, jakiego doznała w całym swoim życiu jedynie raz. Tamtej nocy...

Teraz przeżywała ją jeszcze raz, godzina po godzinie. Cud, że w ogóle udało jej się zasnąć.

- Tak powiedziałaś, czy tylko mi się wydawało? - usłyszała głos Jona i wróciła do rzeczywistości, do jeszcze jednej sprawy, do której nie była przygotowana.

Zadzwoiła do niego wieczorem, tak jak obiecała. Miała nadzieję, że Jon przywróci jej rozsądek, przypomni o ojcu, o jej życiu w Honolulu. Ale nie było go, więc tylko zostawiła wiadomość.

- Eee... tak - odparła. - Właśnie o tym mówiłam.

- A co z tą charytatywną imprezą na szpital w sobotę? Chyba nie zapomniałaś?

Zapomniała. Ale przecież on nie miał tam iść.

- Mówiłeś, że jesteś za bardzo zajęty, by w niej uczestniczyć -  
przypomniała mu.

- Jestem zajęty. Ale mimo to muszę iść. Fogarty powiedział, że się mnie tam spodziewa.

Fogarty był głównym szefem kliniki, w której pracował Jon.

- Więc pójdziesz, ale sam. Bo ja nie mogę.

- Ally, co się dzieje?

- Coś się wydarzyło. Coś ważnego.

- Co może być ważniejsze? Alice, ta impreza jest ważna.

Nie była, póki Fogarty tak nie zdecydował.

- Owszem. Tyle że tutaj się do czegoś zobowiązałam. Mam pewne...  
niedokończone sprawy.

- Ally, wiem, że ta Castillo może cię promować, ale naprawdę i bez niej masz mnóstwo sklepów ze swoimi wyrobami. Zresztą, gdy się pobierzemy, w jaki sposób zamierzasz je zaopatrywać? Gdy będziemy mieli dzieci...

Już o tym rozmawiali. Gdy urodzą się dzieci, z całą pewnością przerwie pracę zawodową i zostanie mamą na cały etat. Nie chciała, by kto inny je wychowywał. Finansowo sobie poradzą, Jon zarabiał bardzo dobrze. Jednak do tej pory zamierzała pracować: szyć, malować, projektować.

- Gdy będziemy mieli dzieci, zawsze będą dla mnie najważniejsze -  
powiedziała stanowczo. - Ale teraz muszę tu zostać do poniedziałku.

- Twój tato będzie rozczarowany. Nie mógł się już doczekać jutra.

- Wiem. - Ally poczuła się winna, jednak nie miała wyboru. - Zobaczę się z nim w poniedziałek. A jeżeli do niego wpadniesz, ucałuj go ode mnie.

- Wątpię, bym miał czas do niego zajść. Mam całkowicie wypełniony dzień.

- Wobec tego zadzwonię do niego. A do ciebie zadzwonię, gdy tylko będę wiedziała, o której przylecę.

- Dobrze. Postaram się wyjść po ciebie. Teraz muszę kończyć. Za godzinę zaczynam operację.

- Jasne. Dziękuję, że oddzwoniłeś. I naprawdę przepraszam z powodu weekendu. Kocham cię.

Ale Jon już przerwał połączenie.

Ally nadal siedziała, ściskając w rękę aparat. Wiedziała, że zawiodła Jona. Liczył na nią. Kochał ją. I na pewno nie zrozumie nic, co dotyczy Petera. Chciałaby móc z nim o tym porozmawiać. Bardzo by jej pomogło, gdyby mogła mu się zwierzyć, opowiedzieć, co się wydarzyło, jak się zdenerwowała, gdy Peter nie zgodził się podpisać papierów, i jaka czuła się zakłopotana, gdy ugotował dla niej kolację, a także o tym, że jego siostra ją oczarowała, a na myśl o wizycie u jego rodziców cała jest roztrzęsiona.

Czy podczas weekendu Peter znów ją pocałuje? I czy ona tego pragnie?

Jak by zareagowała tym razem? I dlaczego on to robi? Przecież jej nie kocha.

A ona, czy w głębi serca nadal go kocha?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Do licha, gdzie on się podziewa?

Ally już chyba po raz setny nerwowo przemierzała foyer hotelu. Zeszła chwilę po dziesiątej, a przedtem tak samo nerwowo dłuższy czas krążyła po pokoju. Chociaż Peter miał przyjechać po nią dopiero o dwunastej, w końcu wolała być wśród ludzi, licząc na to, że trochę oderwie się od swoich myśli i uspokoi.

Ale to nie pomogło. Nawet przedstawienie cyrkowe nie pomogłoby. Stado słoni tańczących przed oknami też by nie pomogło. Mogła myśleć tylko o Peterze - o weekendzie z nim - i była coraz bardziej zdenerwowana.

Kupiła sobie kawę w barze, żeby mieć czym zająć ręce. Wypiła łyk, oparzyła język, znów zaczęła spacerować po foyer.

Mogła powiedzieć, że sama pojedzie do Hamptons. Kursowały tam wahadłowe mikrobusy. Nigdy nie powinna była zgodzić się na spędzenie tylu godzin sam na sam z nim w samochodzie. Ale teraz było za późno, chociaż może jeszcze znalazłaby miejsce w mikrobusie. Tyle że musiałaby zawiadomić Petera. A dzwonić nie chciała. Wiedziała, co by powiedział.

Tchórzysz? Nie tchórzyła. Była po prostu... ostrożna.

Da sobie radę. Oczywiście, że tak. Ale pomogłoby jej, gdyby już tu był. Wtedy weekend już by się zaczął.

- Jesteś gotowa?

Podskoczyła, słysząc za sobą jego głos. Kawa chlusnęła na podłogę, na buty, bluzkę, rękę.

- Och! - Okręciła się gwałtownie na pięcie. - Przestań się podkradać!

- Nie podkradam się. To ty pędziłaś przed siebie. Nie mogłem przecież obieć cię dookoła, stanąć przed tobą i powiedzieć: Już jestem. Nic ci się nie stało? - Wziął od niej filiżankę i postawił na stoliku, podczas gdy Ally usiłowała zetrzeć z siebie kawę.

- Nic. Czuję się wspaniale. Nawet lepiej niż wspaniale - mruzczała, trąc bluzkę. W końcu się poddała. - Muszę się przebrać.

- Pokaż. - Ujął jej poparzoną rękę i obejrzał. Była czerwona. Ale pieczenie od oparzenia czuła mniej niż jego dotyk.

Zaczęła się wyrywać. Peter mocniej ją przytrzymał.

- Trzeba przyłożyć lód. - Uniósł na nią wzrok. - A może pocałunek bardziej by pomógł? - Uśmiechnął się kącikiem ust.

Ally wreszcie udało się cofnąć rękę.

- Lód tak. Pocałunek - nie.

- Nie chcesz powtórki zeszłego wieczoru? - drażnił się z nią.

- Przebiorę się, zrobię sobie okład i możemy jechać.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyjęła z walizki pulower w kolorze koralu i pobiegła do toalety. Szybko się przebrała, rzuciła spojrzenie w lustro i powiedziała sobie, że ma panować nad sobą, a nade wszystko nie ulec urokowi Petera Antonidesa.

Wyjęła jeszcze torebkę z lodem z automatu i najpierw przyłożyła ją do twarzy, a potem dopiero na rękę. Ruszyła z powrotem do foyer.

Peter włożył jej walizkę do bagażnika samochodu - ostatniego modelu średnich rozmiarów SUV-a, z deską surfingową na dachu.

- Chyba jesteś jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który wozi ze sobą deskę.



- Raczej nie. Zdziwiłabyś się, co można tu, w mieście, zobaczyć. Jak twoja ręka? - Otworzył jej drzwi. Wsiadła, zadowolona, że w środku jest sporo miejsca. Będzie mogła zachować dystans.

- Nic mi nie jest - odparła, zapinając pas.

Ally uwielbiała miasto, ale nigdy nie zdobyłaby się na to, by tu prowadzić. Już w Honolulu kosztowało ją to wystarczająco dużo nerwów. Natomiast on manewrował wśród pędzących samochodów z taką samą wprawą, z jaką ujeżdżał fale.

- Sam zamieniam się w falę - powiedział jej kiedyś.

- A zamieniasz się w ruch uliczny? - spytała teraz.

Uśmiechnął się.

- Skąd wiesz?

- Tak łatwo ci to idzie.

- Radzę sobie, chociaż to nie jest najlepszy sposób na spędzanie piątkowego popołudnia.

- Powinieneś być pozwolić mi pojechać mikrobusem. Mogliśmy się spotkać na miejscu.

- Tak jest lepiej. Zresztą dzięki temu mamy okazję spędzić ze sobą trochę czasu.

Właśnie tego Ally wolałaby uniknąć.

- Czy u twoich rodziców będzie dużo ludzi?

- Wystarczająco - odparł ponuro. - Cała najbliższa rodzina. Wnuki. Moja babcia. Dwie siostry mamy. Jedna ze zwariowanych ciotek ojca. Jej mąż był kuzynem Ariego Cristopouloza, więc tato miał pretekst, żeby ich zaprosić.

- Ale tak naprawdę zaprosił ich, bo... ty i ich córka...

- Nigdy by się do tego nie przyznał.

- Nie będzie zły?

Wzruszył ramionami.

- Teraz już wie. Mama musiała mu powiedzieć. A on nigdy nie złości się długo.

- A co z Cristopolousami? I ich córką? Czy nie spodziewają się...?

- Kawalera? Owszem. Biedny Lukas.

- Kto?

- Mój młodszy braciszek. Dobry chłopak.

Ally spojrzała na niego zdziwiona.

- Lukas się tym nie przejmie. Nigdy się nie przejmuje, gdy rzucają mu w ramiona piękną kobietę.

- A często się to zdarza?

- Nie, nie muszą się fatygować. Piękne kobiety same rzucają mu się w ramiona. Wydaje im się, że jest przystojny. Mają marny gust. A teraz powiedz - zmienił temat - co załatwiłaś wczoraj w galerii z Gabrielą del Castillo?

Ally była ciekawa tego brata, któremu piękne kobiety rzucają się w ramiona. Trudno jej było wyobrazić sobie kogoś jeszcze przystojniejszego niż Peter. Może i jemu też kobiety rzucają się w ramiona? Chciała o to zapytać, ale chyba wcale nie chciała tego wiedzieć. Więc odpowiedziała na pytanie, które jej zadał.

- To było owocne spotkanie. Przyniosłam sześć rzeczy, gobeliny, kolaże - i przyjęła wszystkie.

- Czyli co?

- Och, dwa gobeliny z tajską plażą, bardzo stylizowane. Polinezyjski. Dwa z widokami Nowej Zelandii, z wpływami maoryskimi. I kolaż ukazujący szczyty nowojorskich wieżowców na tle nocnego nieba.

O jednym przedmiocie mu nie powiedziała. Był bardzo osobisty, wykonany najdawniej. To były jej wspomnienia z ranka po nocy, którą spędzili

razem. Widok z jego okna na morze, piasek, wschód słońca, samotny surfer niesiony falą ku brzegowi.

I szczęście, jakie odczuwała tamtego ranka, zabarwiło uczuciem gobelin. Wozila go ze sobą wszędzie, prezentowała w kilku galeriach, miała oferty kupna, jednak go nie sprzedawała. Nie mogła się na to zdobyć.

Ale teraz powiedziała Gabrieli, że wystawia go na sprzedaż. Za długo go miała przy sobie. A ponieważ małżeństwo dobiegało końca, nadszedł czas, by się z nim rozstać.

- Przyślę jej więcej, gdy wrócę do domu, a ona zorganizuje mi indywidualną wystawę.

Peter gwizdnął.

- To fantastycznie! - Wydawał się szczerze uszczęśliwiony. - Gdzie jest ta galeria i jak się nazywa?

- „*Sol y sombra*\* Przedmieścia". Ma też na Madison Avenue galerię „*Sol y sombra* Centrum". Natomiast jej główna galeria znajduje się w Santa Fe.

\* *Sol y sombra* (hiszp.). - Słońce i cień (przyp. tłum.).

Gdy już zaczęła mówić o swojej pracy, jakoś nie mogła przestać. A Peter ją zachęcał. Zadawał pytania, słuchał uważnie odpowiedzi. Wydawał się szczerze zainteresowany. I może dlatego, że był jedyną osobą, którą to naprawdę interesowało, mówiła i mówiła.

Łatwo było rozmawiać z nim o własnej pracy, a także o jego pracy, a nawet o krewnych. Pytała o nich, a on odpowiadał z chęcią, przytaczał wesołe historyjki o swoim dorastaniu w tak licznej, hałaśliwej rodzinie.

I mimo że perspektywa spotkania z Antonidesami wywoływała treść i zdenerwowanie, bo czuła się jak oszustka, im więcej o nich słyszała, tym większą miała ochotę ich poznać.

Jednak gdy już dojeżdżali, spoważniała.

- Peter, zanim się tam znajdziemy, musimy ustalić parę spraw.

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

- Jakich spraw? - spytał, rzucając jej ostrożne spojrzenie.

- Zasady. Nie będzie całowania.

- Co takiego?

- Słyszałeś - powiedziała, a na policzki zaczął jej wpływać rumieniec.

- Nie zgadzam się. Jestem twoim mężem - przypomniał jej.

- Tylko chwilowo.

- Możesz mnie całować tak jak tamtego wieczoru i nadal chcieć  
rozvodu?

Teraz twarz już ją paliła.

- Przyłapałeś mnie znienacka. I nigdy nie twierdziłam, że nie jesteś pociągający. Po prostu... - zawahała się. Jak mogła mu to wyjaśnić? Nie mówili tym samym językiem. Woląla zmienić temat. - Nie powiem twojej rodzinie, że wnoszę o rozwód. Zostawiam to tobie.

- Bardzo pięknie z twojej strony - mruknął.

Zacisnął ręce na kierownicy tak mocno, że zbielały mu kostki palców.

- Ja... - zająknęła się - nie sądzę, byśmy mogli pozwolić im wierzyć, że jesteśmy parą.

- Ally, w ich oczach jesteśmy parą. Pobraliśmy się.

- Mimo to nie powinnam była tu przyjeżdżać.

- Za późno na takie żale. Już tu jesteś.

Ally wzięła głęboki oddech.

- Nie jesteś w wodzie i nie toniesz - powiedział. - Rozluźnij się. Oni nie gryzą. Ja też nie - dodał gorzko.

- Ale ty całujesz.

- I, do diabła, bardzo dobrze całuję. Przynajmniej tak mi mówiono.

Zresztą nie skarżyłaś się.

- Całujesz bardzo dobrze - przyznała, patrząc przed siebie. - Sytuacja już i tak jest trudna. Nie chcę utrudniać jej jeszcze bardziej.

- Nie sądziłem, że to dla ciebie taka katorga.

- Nie! Tak nie jest... - Nie potrafiła mu wytłumaczyć. Nie potrafiła nawet dojść do ładu z własnymi poplątanymi uczuciami. - Ale sytuacja jest niezręczna. Czuję się jak oszustka. Dlatego nie chcę całowania.

Zatrzymał samochód pośrodku drogi. Na szczęście akurat nic nie jechało. Przez długą chwilę milczał, a potem powiedział spokojnie:

- Czulaś się jak oszustka, gdy mnie całowałaś?

Nie czekał na odpowiedź. Uruchomił silnik i ruszył. Przejechali jeszcze ze sto metrów i znaleźli się na parkingu przed ogromnym domem z kamienia i drewna, w pseudoangielskim stylu.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił i, nie patrząc na nią, wysiadł z samochodu.

Ally siedziała nieruchomo.

- Chodź, poznaj moich rodziców - powiedział Peter szorstko.

Sama nie wiedziała, jakiego powitania ma się spodziewać, i bardzo się denerwowała. Ale to, co ją spotkało, przeszło jej oczekiwania.

- Powodzenia w stosowaniu zasady „bez całowania” - dodał jeszcze Peter i odwrócił się do tłumu krewnych, którzy już do niech biegli.

- Mamo, tato, to Ally. Al, to moi rodzice, Eolus i Helena.

Spodziewała się, że Eolus uprzejmie uściśnie jej rękę, ale on już ją obejmował serdecznym, niedźwiedzim uściskiem i całował w policzki.

- Więc rzeczywiście istniejesz! - zawołał, a jego czarne oczy lśniły wesoło. - Mój syn jest pełen niespodzianek.

Zdołał objąć również Petera tym samym mocnym uściskiem, a potem jeszcze swoją żonę.

Matka Petera, chociaż nie aż tak wylewna jak Eolus, też powitała ją serdecznie.

- Nowa córka - mruknęła, biorąc w ręce twarz Ally i patrząc jej prosto w oczy. - Cudownie.

Ally ogarnęła fala poczucia winy, ale Helena już ją gorąco całowała. Potem odstąpiła o krok, objęła Ally w pasie i odciągnęła od Petera i męża.

- Chodźmy - powiedziała. - Poznaj resztę rodziny.

Poczucie winy było coraz głębsze. A jednak jak mogła nie uśmiechać się, przechodząc od jednej osoby do drugiej. Było ich tylu, wszyscy o czarnych włosach, radośni, uśmiechnięci. Ściskali jej ręce, całowali w policzki, przedstawiali się.

Niektóre imiona rozpoznawała: rodzeństwo Petera, Eliasa i Marthę, ich współmałżonków i stadko małych chłopców, którzy musieli być bratankami i siostrzeńcami Petera. Poza tym był jeszcze jeden brat, kilka ciotek, kuzyni, przyjaciele.

Wszystko jej się mieszało, nie zdołałaby zapamiętać tylu imion, ale Connie, dziewczynę, którą Eolus chciał wyswatać, wyodrębniła od razu z tego tłumu.

Connie Cristopolous była najpiękniejszą kobietą, jaką Ally w życiu widziała. Los pobłogosławił ją naturalnie kręconymi włosami. Ally, która miała włosy proste jak druty, w swoim mniemaniu nawet nie mogła się z nią równać. A włosy Connie nie tylko się kręciły, lecz jeszcze posłusznie układały zgodnie z wolą właścicielki. Twarz miała uderzająco piękną: lekko opalona, zgrabny mały nosek, pełne uśmiechnięte usta, rysy dość ostre, ale nie na tyle, by odejmowały jej ciepło i urok kobiecości.

Uśmiechnęła się do Ally i serdecznie ją powitała.

- Tak się cieszę, że mogę poznać żonę Petera - powiedziała głosem, który przywiódł Ally na myśl płynny miód.

Spojrzała w stronę Petera. Stał w otoczeniu ciotek i braci. Chyba nie zauważył jeszcze Connie.

Może się z nią ożeni, gdy tylko dostanie rozwód.

Ta myśl spowodowała, że Ally bezwiednie stężała. Zmrużonymi oczami przyjrzała się Connie. Czy ona jest warta Petera? Czy będzie go kochać?

A czy on będzie ją kochał? Na tę myśl Ally potknęła się na schodach.

- Kochanie, dobrze się czujesz? - spytał ktoś, podtrzymując ją pod łokieć.

- T-tak - wyjąkała.

Wcale nie czuła się dobrze. Mogła ostatecznie pogodzić się z tym, że on jej nie kocha, lecz nie chciała, by zakochał się w innej. Upokarzające, ale prawdziwe.

- Chodź, przedstawimy cię *Yiayiai*. - Ciotki pociągnęły ją do domu.

Dom, w którym wychowywał się Peter, był uroczy i ciepły. Od południa francuskie okna wychodziły na taras i trawnik opadający ku oceanowi.

Na ten widok Ally poczuła nagle spokój. Wolałaby tu zostać, podziwiać perspektywę, złapać oddech, odzyskać równowagę.

Jednak ciotki już ją prowadziły przez pokój stołowy do kuchni, gdzie drobna, starsza kobieta, ale o ciągle jeszcze czarnych włosach, piekła jakieś skomplikowane ciasto. Ręce ociekały jej czymś, co wyglądało na miód z orzechami.

Ally była ciekawa, w jaki sposób w tych warunkach odbędzie się zwyczajowy uścisk.

Jednak chociaż kobieta uniosła wzrok, gdy weszły, nie oderwała się od swojego zajęcia. Po prostu uważnie na nią spojrzała, nie uśmiechnęła się.

- To *Yiayia* - powiedziała jedna z ciotek. - Babcia - wyjaśniła.

Ally uśmiechnęła się do kobiety, która nie odwzajemniła tego uśmiechu. Nadal w całkowitym milczeniu uważnie jej się przyglądała. Ally pomyślała, że może nie zna angielskiego.

- Dzień dobry - powiedziała w końcu, gdy stało się jasne, że babcia Petera nie zamierza się odezwać. - Miło mi panią poznać. Jestem Alice, albo Ally, jeżeli pani tak woli. Albo Al, jak nazywa mnie Peter - dodała z porozumiewawczym uśmiechem, jakby zapraszając kobietę, by też się do niej uśmiechnęła.

Sama była zdziwiona, że tak bardzo jej na tym zależy.

- Alice - powiedziała wreszcie starsza pani, ciągle jej się przyglądając. Odwróciła się do ciotek. - Ona mi tu pomoże. A wy sobie idźcie.

Popatrzyły na nią, potem na Ally, potem po sobie, i więcej już się nie wahając, wyszły z kuchni.

Z dalszych pokoi dobiegały Ally rozmowy i śmiech, ale nikt nie wszedł do kuchni. Wyglądało to niemal na audiencję u papieża.

Czuła się trochę tak, jak przy swoim ojcu, który też zachowywał dystans i rzadko się uśmiechał.



Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Peter. Babcia natychmiast rozplynęła się w radosnym uśmiechu. A gdy podszedł do niej trzema długimi krokami, chwycił za umazane miodem ręce i głośno ją pocałował, roześmiała się, położyła ręce na jego policzkach i też go pocałowała.

Ally przyglądała się temu w zdumieniu.

Oboje odwrócili się do niej.

- No więc, *Yiayia*, jak ci się podoba moja żona? Czyż nie jest cudowna?

- Prawdziwa piękność - przyznała *Yiayia*.

Nadal się uśmiechała, poklepywała Petera po policzku.

On też się uśmiechał, ale w jego oczach była jakaś powaga, która powiedziała Ally, że pod tym uśmiechem coś ukrywa.

- Pojechałeś po nią?

- Ona przyszła do mnie.

- Ach. - Spojrzenie babci trochę zmiękło, w oczach pojawił się ślad uśmiechu. - Tak jest lepiej.

Lepiej? Lepiej niż co? Ally nie rozumiała podtekstów tej wymiany zdań, ale żadne z nich nie zamierzało jej oświecić. Jednak wiedziała, że nic nie jest dobre ani lepsze. Obawiała się, że babcia, tak samo jak siostra Cristina, niewłaściwie oceniają całą sytuację.

- Więc przyjechałaś - powiedziała z zadowoleniem starsza pani. - Nareszcie.

- *Yiayia*, nie zniżaj się nad nią. Miała wiele do zrobienia.

- I to było ważniejsze niż mąż?

- Było ważne dla niej - oznajmił stanowczo Peter. - Tak samo jak dla mnie był ważny wyjazd na Hawaje. Rozumiesz?

Patrzyła na niego przez długą chwilę, potem przeniosła taksujące spojrzenie na Ally.

- Tak, rozumiem. - Westchnęła. - A teraz jesteś szczęśliwy?

Radośnie się uśmiechnął.

- Oczywiście, że tak. - Wziął ją za rękę i zlizął z palców miód. Babcia roześmiała się. - Jak miałbym nie być szczęśliwy? Mam przy sobie moje dwie ulubione kobiety. A na dodatek ty robisz baklawę, mama szykuje pieczeń na kolację, a tato już nigdy nie będzie mógł mi swatać żadnej kobiety.

Babcia jeszcze raz się roześmiała.

- Umyj ręce i idź pomóż bratu przy bliźniętach. Tallie musi się położyć i odpocząć. Znów spodziewa się dziecka.

- Naprawdę? - Peter był wyraźnie rozanielony. - Kiedy?

- Na wiosnę. No, idź. Żonę zostaw tutaj - dodała, gdy umył ręce i podszedł do Ally. - Alice i ja porozmawiamy sobie.

- Ale...

- Idź - rozkazała. - Nie bój się o nią. Nie zjem jej.

Peter jeszcze się wahał.

- Jest gorsza niż Cristina - poinformował Ally.

- Nie martw się o mnie. Zawsze chciałam się nauczyć robić baklawę.

- Nauczę cię - obiecała *Yiayia* z uśmiechem.

Obie patrzyły, jak Peter wychodzi. Potem babcia umyła ręce i zabrała się do smarowania ciasta miodem z roztopionym masłem. Coś do siebie powiedziała po grecku.

- Niestety nie rozumiem - odezwała się Ally. Podeszła do stołu, wzięła pędzelek i też zaczęła smarować ciasto.

- Powiedziałam, że to mój ulubieniec - powtórzyła *Yiayia*, tym razem po angielsku. - Popatrzyła w okno i czule się uśmiechnęła. Obie widziały Petera. Ratował starszego brata, który służył swoim synkom za drabinkę do wspinaczki. - Kocham wszystkie moje wnuki, ale Petera najbardziej. - Zamilkła na

chwilę, a potem kontynuowała: - Nie powiem tego nikomu innemu. Ale ja to wiem. I on o tym wie. Najbardziej przypomina mojego drogiego Eneasza. Silny, ale łagodny, jak jego dziadek. Sprawia, że się śmieję. Sprawia, że jestem szczęśliwa. To dobry człowiek.

- Tak. - Ally też to wiedziała. Zawsze.

- Mężczyzna, który zasługuje na szczęście - dodała *Yiayia*.

- Tak.

- I mówi, że jest szczęśliwy.

- Mam nadzieję - zgodziła się Ally szybko i zaraz poczuła, że powiedziała za mało. - Ja też chcę, żeby był szczęśliwy - dodała. Mówiła prawdę. - Wiem, że jest szczęśliwy, przyjeżdżając do domu na weekend.

- Na pewno, gdy ty tu jesteś, i jego ojciec przekonał się, że mówił prawdę. Ale nie o to mi chodziło. Twierdzi, że jest szczęśliwy, ale ja się zastanawiam... - Znów spojrzała przez okno.

Peter i Elias bawili się z dziećmi, wszyscy się śmiali.

- Wydaje się szczęśliwy - potwierdziła Ally stanowczo.

- Tak. Jednak zastanawiam się - spojrzała na Ally znad okularów - dlaczego szczęśliwy, zakochany mężczyzna, całuje swoją starą, pomarszczoną babcię, a nie ukochaną żonę?

Chociaż babcia Petera była raczej szorstka, Ally ją polubiła.

Czuła się winna, bo nie wyjawiała swoich planów. Ale obiecała, że nie wspomni o rozwodzie. I, prawdę mówiąc, nawet gdyby tego nie obiecała, nie była pewna, czy wyznanie przeszłoby jej przez gardło.

Wkrótce babcia zaczęła ją wypytywać o jej pracę, sztukę. Okazało się, że nie tylko coś o tym słyszała, lecz Peter obszernie jej opowiadał o tym, co Ally robi.

- Jest bardzo dumny z ciebie - powiedziała.

- To on mi to umożliwił.

*Yiayia* uśmiechnęła się.

- A teraz sprawisz, że będzie szczęśliwy. - Zanim Ally zdążyła coś odpowiedzieć, babka dodała: - Idzie Martha. Polubisz ją.

Martha weszła od strony werandy, na biodrze niosła dziecko.

- Och, Ally, tu jesteś! Szukałam cię. - Potem zwróciła się do babci: - *Yiayia*, mogę ją zabrać? Chciałabym poznać moją bratową.

Czyżby teraz ona miała zamiar przypiekać mnie na wolnym ogniu? - zastanawiała się Ally.

- Idźcie, idźcie - zgodziła się babcia. - Zanim twoja matka zapędzi cię do pracy.

- Niech Bóg broni - roześmiała się Martha.

- Chodź, Ally. Pójdziemy na plażę.

- Widziałam twój fresk w Sol y Sombra - powiedziała Marcie, gdy już były na dworze. - Jest przepiękny.

Wszelkie obawy Ally szybko się rozwiały. Martha nie pytała o jej relacje z Peterem. Zaczęły rozmawiać o swojej pracy, zarzuciła Ally setką pytań o jej sztukę, sklepy. I była zachwycona, że może poznać żonę brata.

- Tato nie wierzył, że naprawdę istniejesz - wyznała. - Fantastycznie jest odkryć, że to prawda. I że cię lubię. Musimy się częściej spotykać! Może czasami moglibyśmy z Theo i Eddiem pojechać na Hawaje? Theo byłby uszczęśliwiony. On i Peter uwielbiają surfowanie. Mają ze sobą mnóstwo wspólnego. Tak samo jak my dwie.

I co Ally miała na to odpowiedzieć?

- Byłoby miło - powiedziała w końcu.

I to była prawda.

Coś z jej wahania musiało wyjść na jaw, bo Martha natychmiast zaczęła się tłumaczyć:

- Za bardzo nalegam. Theo zawsze mi mówi, żebym nie była taka impulsywna.

- Nie, nie - zaprzeczyła Ally szybko. - Naprawdę bardzo bym się ucieszyła. Tylko że my... jeszcze nie wiemy, co będziemy dalej robić. Peter i ja musimy... to przedyskutować.

- Oczywiście! - wykrzyknęła Martha. - Pewnie bardzo dziwnie się czujesz, wracając po tyłu latach.

- Tak. My właściwie się nie znamy.

- Dlaczego tak długo cię nie było?

- Zawsze było coś do zrobienia - powiedziała - a Peter ożenił się ze mną po to, bym mogła to robić. Gdy wreszcie stało się to możliwe, okazało się, że osiągam sukcesy. I - wzruszyła ramionami - ponieważ właśnie po to się ze mną ożenił, robiłam to nadal. Ale teraz myślę, że on chciałby uporządkować swoje życie. Dostać rozwód.

- Mógłby to załatwić?

- Gdyby wystąpił o rozwód, a ja bym się nie stawiała na rozprawie, to tak. Nawet nie potrzebowałby mojego podpisu.

- Ale na pewno cieszysz się, że tego nie zrobił. Och, co by to było, gdybyś wróciła, i okazało się, że już jesteście rozwiedzeni? A na dodatek, gdyby już zdążył się ożenić z kimś innym? - Wyglądała na przerażoną taką perspektywą.

I Ally musiała przyznać, że jej też by się to nie podobało.

- Eddie, nie! Nie bierz tego do buzi. - Martha podbiegła i chwyciła synka w ramiona. - Dzieciaki! Jak sobie poradzę, gdy będę miała dwoje? - jęknęła.

- Spodziewasz się...? - spytała Ally, patrząc powątpiewająco na płaski brzuch Marthy.

- W styczniu - odpowiedziała z radosnym uśmiechem. - A co z wami? Rozmawialiście już o dzieciach?

- Niewiele. - Nie było to do końca kłamstwo. Rozmawiali o dzieciach - tych, które miała nadzieję mieć z Jonem, o wnukach, które chciała dać swojemu ojcu.

Ale w tej chwili jakoś nie widziała oczami wyobraźni dziecka, które mogłaby mieć z Jonem. Widziała natomiast Petera, jak zajmuje się Alekssem tamtego wieczoru u siebie w domu; obserwowała go teraz, gdy miał na każdym biodrze po jednym synku Eliasa.

Spojrzenie Marthy podążyło za wzrokiem Ally.

- No, jeszcze macie czas. Ale na pewno nie będziecie długo czekali.

Ally nie odpowiedziała. Od blasku słońca oczy zasły jej łzami.

W dzieciństwie była zapaloną czytelniczką.

Od pierwszej chwili, gdy tylko nauczyła się składać litery w słowa, odwiedzała biblioteki, wydawała na książki całe kieszonkowe. Kupowała sobie nowe światy. I w każdym z tych światów była hałaśliwa, roześmiana, kochająca się liczna rodzina, tak bardzo różna od jej własnej.

Och, była kochana. Co do tego nie miała wątpliwości.

Ale jej codzienność to były cisza, spokój, porządek. Gdy matka jeszcze żyła, oczywiście w domu rozbrzmiewał śmiech. I nawet jej pełen godności, milczący ojciec, czasami stawał się wesoły.

Ale po śmierci matki, gdy liczba krzeseł przy stole zmniejszyła się z trzech do dwóch, zjadali posiłki w milczeniu. Gdy zabrakło matki, zabrakło też lekkich rozmów, a nawet uśmiechów.

Hiroshi Maruyama, zawsze mało wylewny, po śmierci żony zaczął zachowywać jeszcze większy dystans, a w stosunkach z córką ograniczał się jedynie do dawania wskazówek, poleceń, rozkazów.

- To ci ułatwi życie - powiedział jej sztywno, gdy się poskarżyła.

Ale nie ułatwiło.

Dopiero małżeństwo z Peterem i ucieczka od dyktatu ojca sprawiły, że życie stało się lepsze. Zyskała wolność, możliwość rozwijania swoich zdolności, a potem wypełnienia życia sztuką i pracą, które kochała.

Żyjąc pełnią życia, zapomniała o hałaśliwych, roześmianych, kochających się licznych rodzinach, o których czytała i którym tak zazdrościła ich bliskości. Właściwie nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jej tego brakowało, póki nie wróciła na Hawaje, gdy ojciec miał atak serca.

To ją zmusiło do zwolnienia, oderwania się od pracy, i w ciągu długich dni spędzanych przy ojcu w szpitalu zaczęła dostrzegać pęknięcia w swoim pozornie gładko toczącym się życiu. Otworzyła się przed nią pustka.

Była znów z ojcem, i znów zalegało między nimi ciężkie milczenie. A ona tęskniła do czegoś więcej. Dlatego właśnie tak ją uszczęśliwił związek z Jonem.

Był tak samo oddany pracy jak ona. Przez całe swoje dorosłe życie wypełniał pustkę opieką nad pacjentami. Teraz miał trzydzieści pięć lat. Przyszedł czas na małżeństwo. I rodzinę.

- Jedno dziecko - oświadczył. - Mam czas tylko dla jednego dziecka.

- Dwoje - odpowiedziała Ally natychmiast. - Chcę przynajmniej dwoje. -

Na pewno nie skaże swojego dziecka na takie samotne dzieciństwo, jakie było jej udziałem.

Jon popatrzył na nią tak, jakby proponowała coś irracjonalnego i nieodpowiedzialnego.



- Dwoje - powtórzyła. - Albo troje - dodała radośnie.
  - Nie więcej niż dwoje - upierał się Jon. - Nie chcemy żyć w chaosie.
- Ale ona nie miałaby nic przeciwko temu.

A dziś, na werandzie domu rodziców Petera, ciągle coś jej o tym przypominało.

Od chwili, gdy wysiadła z samochodu i została porwana w sam środek rodziny, ściskana, całowana, poklepywana, miała poczucie déjà vu, co było dziwne, bo nigdy przedtem niczego takiego nie doświadczyła.

I dopiero po kolacji, siedząc na ławce z Martha i Tallie, które rozmawiały o swoich dzieciach, podczas gdy w kuchni ciotki dyskutowały o przepisach na potrawy, w jadalni starsi panowie umawiali się na golfa, na trawniku szalały dzieciaki, a Peter i Elias szykowali ognisko, Ally uświadomiła sobie, co widzi: rodzinę taką, o jakich czytała w dzieciństwie.

Tyle że ta rodzina była prawdziwa. I przez chwilę, przynajmniej do końca weekendu, to była jej rodzina.

Uśmiechnęła się. W głębi duszy.

- Ally, Tallie, chodźcie! - Martha przywołała ją do rzeczywistości. - Pokażę wam fresk, jaki robię w pokoju do szycia mamy.

Ściany holu na piętrze zawieszono były rodzinnymi fotografiami.

- Mój pradziadek Nikos i jego brat, zaraz po przyjeździe do Stanów - wyjaśniła, widząc, gdzie Ally patrzy. - Chcę mieć na fresku całą rodzinę. Pokazać wszystkie pokolenia. - Gdy weszły do pokoju, Ally zobaczyła, że Martha już wykonała małe winiетки dzieci.

- Czy to Peter? - spytała, wskazując portrecik chłopca na desce surfingowej.

Martha roześmiała się.

- A któż inny mógłby to być?



Rzeczywiście, kto inny? Ally podeszła bliżej.

Rozpoznała triumfalny uśmiech i szczerą radość życia.

- Ze wszystkich nas, dzieci - powiedziała Martha - on najbardziej kochał ten dom. I najbardziej kochał ocean. Zawsze uważaliśmy, że to bez sensu wyjeżdżać na Hawaje, skoro tu ma ocean na wyciągnięcie ręki. Ale - uśmiechnęła się do Ally - chyba jednak nie był aż taki szalony. Bo popatrz tylko, kogo sprowadził do domu.

Ally nie mogła odpowiedzieć, bo chyba zalałaby się łzami.

- Hej! - zawołał Peter od drzwi. - Zastanawiałem się, gdzie jesteście.

- Przeprowadziłam Ally, żeby pokazać jej historię rodziny. Ty też tego jeszcze nie widziałeś.

Wszedł, chwycił Ally za rękę i pociągnął do fresku. Chodził od portretu do portretu. Jednak ona nie mogła skupić na nich uwagi. Była za bardzo świadoma jego dotyku.

Powinna się uwolnić. Spróbowała cofnąć rękę. Peter chwycił ją mocniej.

- Są fantastyczne - powiedział do Marthy. - Mama je uwielbia. Mówi, że poprosi cię, byś zapełniła cały pokój.

- No, tak. Theo i ja już zajmujemy się swoją częścią, a Tallie i Elias swoją. Teraz kolej na was.

Ally stężała, ale Peter się nie przejął.

- W odpowiednim czasie - powiedział swobodnie. Potem, jakby po prostu przeszedł nad tym do porządku dziennego, dodał: - Ognisko już się pali. Słońce zachodzi. Chodźmy na dwór.

Scena wokół ogniska jeszcze bardziej przypomniała Ally historie, które dawniej czytała. Zebrała się tu prawie cała rodzina. Siedzieli na kocach, rozmawiali, śmiali się, a niebo robiło się coraz ciemniejsze.

Od oceanu wiał zimny wiatr i Ally chciała iść po sweter, ale Peter narzucił jej na ramiona swoją bluzę.

- Siadaj tu - powiedział i pociągnął ją tak, że znalazła się między jego rozstawionymi nogami, oparta plecami o jego pierś. Objął ją w pasie.

Wydawało jej się to za bardzo intymne jak dla jej spokoju ducha. Ale jednocześnie czuła się tak, jakby była tam, gdzie pragnęła być.

- Ciepłej ci? - Jego usta były tuż przy jej uchu, oddech leciutko muskał policzek.

Zadrzała, uświadamiając sobie jego bliskość, ale on źle to zrozumiał, i mocniej ją objął.

- Mogę iść po coś ciepłego - zaproponował.

Dzięki temu wydostałaby się z jego objęć. Postąpiłaby mądrze, jednak nie ruszyła się. Nie chciała psuć tego wieczoru. To było tak, jakby marzenie stało się rzeczywistością. Ciepło i radość, śmiechy i lekka muzyczka, bo Lukas przyniósł gitarę i grał, dwie ciotki śpiewały. Ally czuła się szczęśliwa, a mocny uścisk rąk Petera dodawał czaru tej chwili.

- Dziękuję, nie trzeba - powiedziała.

Było cudownie. W końcu wszyscy zaczęli się rozchodzić. *Yiyia* wstała jako jedna z pierwszych, ale przed odejściem jeszcze się przy nich zatrzymała i powiedziała coś po grecku.

Peter się uśmiechnął.

- Nie bój się - zapewnił ją. - Zrobię to.

Babcia skinęła głową i poszła do domu.

- Co powiedziała? - spytała Ally.

- Że zapomniałem cię pocałować.

Ally aż zabrakło oddechu, bo czuła jego usta o milimetry od swojego ucha. Ale nie pocałował jej. Wstał i wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej się podnieść.

- Czas iść.

- Tak, jest późno. Prawie północ. - Zesztywniała od tak długiego siedzenia, ale wcale nie chciało jej się odchodzić.

Lukas nadal grał, a Connie, zaszuchana, siedziała u jego stóp. Patrzyła w roztaczające magię ognisko.

Ally nie dziwiła się. Ona też nie chciała oddalać się od tej magii.

Jednak naprawdę było już późno, powinna zadzwonić do Jona. Dzięki różnicy czasu, zapewne właśnie wrócił z kliniki do domu. Może będzie mogła podzielić się z nim chociaż odrobiną tego, czego dziś zaznała: poczucia, że należy do rodziny. I może on to zrozumie.

Może, ośmieliła się mieć nadzieję, będą mogli dzielić to odczucie.

Peter poprowadził ją do jednych z drzwi w korytarzu.

- Jesteśmy na miejscu. To mój dawny pokój - powiedział z uśmiechem.

- Twój? - Rozejrzała się ze zdziwieniem. Ale zaraz pomyślała, że zapewne został przemeblowany.

- Mieliliśmy piętrowe łóżko - kontynuował. Teraz stało tu ogromne łoże, zarzucone zapraszająco poduszkami. - Ja spałem na górze. Zawsze chciałem być na szczycie. Lukas był skazany na dolne.

Mogła go sobie wyobrazić jako chłopca z deską surfingową, takiego, jakiego namalowała go Martha. Ciekawe, jakie miał sny. Bo na pewno nie marzył o wielkiej rodzinie. On ją po prostu miał.

Uświadomiła sobie, że stoi i na nią patrzy.

- Co takiego? - spytała.

- Nic - powiedział, ale się nie ruszył.

- A ty gdzie będziesz spał?
- Słucham?
- Pytam, gdzie będziesz spał. W którym pokoju?
- W tym. Śpię tutaj. Z tobą.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Peter czekał na nieuniknione „nie”, przygotowany na kłótnię, odmowę, na więcej jej przeklętych „zasad”.

Tymczasem Ally stała bez ruchu pośrodku pokoju i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Wyglądała tak, jakby ją uderzył. Potem coś się w jej postawie nieznacznie zmieniło, ale nadal nie potrafił odczytać jej uczuć.

Dziesięć lat temu Ally Maruyama była dla niego jak otwarta księga. Zawsze rozumiał, czego chce, o czym marzy. Dzisiejsza Ally była zamknięta w sobie, nie do odczytania.

Całowała go tak, jakby go pragnęła. Do licha, niemal spłonął, tak reagowała na jego pocałunki. Nie był jej obojętny. Tyle wiedział.

Mimo to upierała się przy rozwodzie.

- Zapewne spodziewałaś się, że dostaniesz własny pokój - powiedział szorstko i odmierzonymi ruchami zaczął rozpinać koszulę.

- Nie - odparła. - To byłoby niezręczne. Twoja matka zaczęłaby zadawać pytania. Wcześniej o tym nie pomyślałam. - Wzruszyła ramionami, jakby cała sprawa nie miała żadnego znaczenia, chwyciła za dół bluzki i ściągnęła ją przez głowę.

Peterowi zaschło w ustach.

W staniku, jaki miała pod bluzką, mogłaby się pokazać publicznie: zwykły stanik z koronki w kolorze kości słoniowej. Co najmniej tak samo przyzwoity jak góra kostiumu plażowego. Nie widział jej piersi, nawet tak okrytych, od dziesięciu lat. Pamiętał, że były drobne, mógł je nakryć rękami. Teraz były pełniejsze, bardziej dojrzałe. Piersi kobiety.

Od chwili gdy ją zobaczył we foyer hotelu, puls zaczął mu przyspieszać, był świadomy jej obecności tak, jak nigdy mu się nie zdarzyło przy innej kobiecie. Powiedział sobie, że to jedynie gorączka chwili, i szybko minie.

Jednak jazda do Hamptons tylko wzmogła tę gorączkę.

Zachowanie Ally wobec jego rodziny jeszcze bardziej nasiliło to odczucie. Wyglądało na to, że wszystkich polubiła. Oni też ją polubili. Nawet babcia, której reakcji trochę się obawiał, szybko się do niej przekonała.

- A co z zakazem całowania? - spytał.

Ally grzebała w walizce. W końcu wyciągnęła nocną koszulę, wcale nie seksowną, ale jemu i tak zrobiło się gorąco. Słyszając pytanie, spojrzała na niego przez ramię.

- Nic się nie zmieniło.

- Będziemy spać w tym samym łóżku całą noc i nic się nie zdarzy?

Odwróciła się do niego.

- Chyba że weźmiesz mnie siłą.

- Dobrze wiesz, że tego nie zrobię - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Tak przypuszczałam. - Zabrała koszulę, przybory toaletowe, i poszła do łazienki. - Wezmę szybki prysznic i zaraz wracam.

- Najlepszą obroną jest atak - powiedział jej kiedyś Peter. - Przestań stosować się do rozkazów ojca. Staw mu czoło.

I zaproponował jej małżeństwo.

Te słowa przypomniały jej się, gdy teraz usłyszała: „Śpię tutaj. Z tobą”.

Już otwierała usta, by się z nim kłócić. Ale przecież zgodziła się tu przyjechać, żeby ostatecznie wyjaśnić, jakie są ich relacje.

Tylko czy spanie z nim to wyjaśni? - pomyślała sarkastycznie, przyglądając się sobie w łazienkowym lustrze.

W pocałunkach Jona była słodycz, poczucie bliskości. Ale nic porywającego, nie było tego poczucia całkowitego połączenia, jak przy Peterze.

A wszystko, co dziś się zdarzyło, jeszcze bardziej zintensyfikowało to poczucie połączenia - nie tylko fizycznego.

Jon to cudowny, miły mężczyzna. Całym sobą oddany pracy. Ale czegoś w jego życiu brakowało. Podobnie jak w jej życiu. Gdy się poznali, było tak, jakby spotkała pokrewną duszę.

Ale nie aż tak bliską i pokrewną jak Peter.

Ona i Jon pragnęli tych samych rzeczy. Mimo to czasami zastanawiała się, czy on rzeczywiście dobrze ją zna. Nigdy nie słuchał jej tak, jak słuchał jej dziś Peter. Tak - teraz to sobie przypominała - jak słuchał jej zawsze.

Sama też nie wiedziała, czy naprawdę zna Jona. Chociaż chciała jak najwięcej się dowiedzieć o jego pracy, nigdy nie dzielił się z nią swoimi przeżyciami ani myślami. Gdy pytała, znużonym tonem dawał krótkie odpowiedzi. „Nie chcę o tym rozmawiać” - mawiał często. „Gdy jestem z tobą, chcę o tym zapomnieć”.

Rozumiała to, ale czuła się wykluczona. I obawiała się, że Jon uważa ją za zbyt głupią, by mogła zrozumieć, o czym by mówił.

Może i miał rację. Jednak chciałaby, żeby chociaż próbował. To mogłoby ich bardziej do siebie zbliżyć.

Peter opowiadał jej dziś o tym, jak surfuje. Nie zrozumiała wszystkiego, ale on przynajmniej zdobył się na ten wysiłek. A widok jego rozjaśnionych szczęściem oczu, gdy mówił o ulubionym zajęciu, był tego wart.

Czuła się coraz bardziej z nim związana.

Poza tym była jego rodzina. Teraz także jej rodzina, jak powiedziała jego matka.

I były też dzieci. Może to właśnie na ich widok doznała takiego przyływu uczuć. Może to, że niosła na każdym biodrze po jednym z bliźniąt Eliasa i Tallie, spowodowało, że zaczęła sobie wyobrażać, jak by to było, gdyby tak samo nosiła żywą kopię Petera? Albo może obserwowanie, jak on uspokaja rozkapryszzonego, sennego siostrzeńca, gdy nikt inny nie mógł sobie poradzić, nasunęło jej myśl o wspólnych dzieciach?

Podczas studiów oglądała wiele portretów matek z dziećmi, ale jakoś brakowało na nich ojców. Peter mógłby być modelem do takiego portretu. Widok spokojnej czułości na jego męskiej twarzy głęboko ją wzruszył.

Nie tylko nie mogła przestać o nim myśleć, teraz jeszcze otworzyła puszkę Pandory z uczuciami i pragnieniami, które bardzo trudno jej będzie zdusić.

A spędzenie z nim nocy w tym samym łóżku na pewno w tym nie pomoże.

Gdy otworzyła drzwi łazienki, zdumiona zobaczyła, że Petera nie ma.

Gdy rano, trochę po ósmej, zeszła na dół, Lukas spojrział na nią i wykrzyknął:

- Och, to musiała być wspaniała noc!

Rzeczywiście, właściwie ani na chwilę nie zasnęła, chociaż nie z powodów, o które podejrzewał ją Lukas. Cały czas mówiła sobie, że powinna zadzwonić do Jona.

Nie zadzwoniła. Mogła myśleć tylko o Peterze - o tym, co mu powiedziała, o jego reakcji.

Chciała, żeby wrócił, chciała móc odwołać swoje słowa, załagodzić, przeprosić. I przysięgła sobie, że tak zrobi, gdy tylko go zobaczy.

Leżała bezsennie i czekała, zastygając na każdy dźwięk z korytarza. Peter nie przyszedł, a ona czekała i czekała.

O świcie było już za późno na telefon do Jona, zresztą i tak nie mogłaby tego zrobić. Ale w końcu nie miało to wielkiego znaczenia. Gdy ułoży sprawy z Peterem, zadzwoni.

Zabrała ze sobą telefon na dół i usiadła przy stole w kuchni. Zebrała się tu prawie cała rodzina, wszyscy patrzyli na nią z ciekawością. Z trudem zdobyła się na rażny uśmiech.

- Oboje, ty i Peter, wyglądacie na eee... niezbyt wyspanych. - Uśmiechnął się Lukas.

- Lukas! - Matka wymierzyła w niego łyżkę. - Nie bądź bezczelny.

- Ja tylko obserwuję. I jestem zazdrosny.

Z całą pewnością nie miał czego zazdrościć, pomyślała Ally ponuro.

- Gdzie jest Peter? - spytała. - Byłam... w łazience.

- Poszedł surfować - powiedział Lukas. - Jak to się stało, że nie poszłaś z nim?

- Ally na pewno jeszcze spała, gdy wychodził - wytłumaczyła ją Helena. - On lubi być na plaży bardzo wcześnie. Usiądź i zjedz śniadanie.

- Ja na jego miejscu zostałbym w łóżku - stwierdził Lukas.

Matka stuknęła go łyżką w głowę.



- Musisz znaleźć sobie własną dziewczynę - pouczyła go Martha. - Masz w domu jakąś siostrę dla niego? - zwróciła się do Ally.

- Niestety, jestem jedynaczką. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pójdę poszukać Petera - zwróciła się do Heleny.

W tej chwili na pewno nie mogłaby nic przelknąć.

Helena uśmiechnęła się do niej.

- Idź. Zjecie po powrocie.

Gdy zeszła na plażę, zobaczyła w oddali samotnego surfera. Siedział na desce, a za nim tworzyły się fale. Nie takie, jak na Hawajach. Te były małe, oblaskawione. Nie stanowiły wyzwania; może dlatego zamiast stać na desce, tylko siedział, bo nie chciało mu się ich ujeżdżać. Nie poruszył się też, gdy Ally zeszła na brzeg. A na pewno ją zauważył.

Może nie miał już ochoty z nią rozmawiać?

Nie miałyby o to do niego pretensji. Wieczorem, nie mogąc dojść do ładu ze swoimi uczuciami, doprowadziła do niezręcznej sytuacji. Jednak czuła się odepchnięta.

Teraz usiadła na zimnym piasku obok jego ręcznika, przyciągnęła kolana do piersi, objęła je rękami, i patrzyła na niego. A on nadal nie zrobił żadnego ruchu, by złapać falę i przyplłynąć do niej. Cały czas wpatrywał się w horyzont.

Frustracja Ally rosła w miarę, jak ignorował kolejne fale. Wreszcie wstała. Popatrzył w jej kierunku.

Zrzuciła buty i weszła do oceanu. Zimna woda zmoczyła jej łydki, potem kolana, potem uda. Szła dalej. Peter patrzył na nią.

Była już po pas w wodzie. Obok niej załamała się fala, zmoczyła ją aż po szyję. Wreszcie dotarła do Petera.

- Co tu robisz? - spytał z irytacją.

Ally nie odpowiedziała. Zanurkowała, a gdy się wynurzyła, była bardzo blisko. Nie spuszczać z niego spojrzenia, zaczęła płynąć. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy dopłynęła do niego i chwyciła dziób deski.

- Co robisz? - powtórzył.

Wcale nie ucieszył się na jej widok.

- Jesteś tchórzem - odparła.

Zmarszczył gniewnie czoło.

- Ja jestem tchórzem? Skąd taki wniosek?

- Wiesz, że rano chciałam z tobą porozmawiać. Uciekłeś.

- Na wypadek gdybyś tego nie zauważyła, surfuję.

- Rzeczywiście, nie zauważyłam - powiedziała, uśmiechając się do niego.

- Nie widziałam, żebyś łapał fale. A było kilka naprawdę dobrych.

- Nie były wystarczająco dobre. - Popatrzył w bok, usta miał zaciśnięte.

- Ach, szkoda. Czekasz na falę olbrzymia?

- Co to za różnica? - spytał ostro.

- Przepraszam.

Teraz na nią spojrzał. Nic nie powiedział, ale był wyraźnie zainteresowany.

- Przepraszam - powtórzyła. - Nie powinnam była powiedzieć tego o wykorzystaniu mnie siłą. Nie powinnam była tak się zachować. Tak samo się zachowałam, gdy przyszedłeś na wernisaż. Ja wtedy... stchórzyłam.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Tak było. I zeszłej nocy też. Stchórzyłam. I czułam się zagubiona.

- Nie tylko ty - mruknął i znów wpatrzył się w horyzont.

Może tak było lepiej. Może będzie jej łatwiej tłumaczyć się, jeżeli nie będzie na nią patrzył.

- Chciałam... - zaczęła. - Nie wiedziałam, czego chcę. A ta sytuacja z łóżkiem... Nie wiem, co między nami się dzieje - przyznała. - Ale chcę się dowiedzieć.

- I chcesz się tego dowiedzieć, zakazując pocałunków?

- Mówiłam ci, że jestem zagubiona.

Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź do mnie.

Przez chwilę się nie poruszyła, czując się tak, jakby stała na brzegu przepaści, jakby postawienie tego jednego jedyne kroku, czyli wzięcie go za rękę, było równoznaczne z rzuceniem się w otchłań bez dna.

Peter czekał z wyciągniętą ręką, jego zielone oczy rzucały wyzwanie. On wykonał ruch. Teraz jej kolej.

Włożyła dłoń w jego rękę. Silne, zimne palce zacisnęły się wokół jej palców. Niemal bez wysiłku wyciągnął ją z wody i pomógł wdrapać się na deskę, sadzając ją twarzą do siebie.

- Dobrze - powiedział, chwytając ją za ramiona. - Do diabła z zasadami. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

I jeszcze raz doznała tego oszłamiającego pragnienia.

Za każdym razem, gdy ją całował, traciła zdrowy rozsądek. Rozsądna, mądra Ally zniknęła. Gdy tylko dotknął ustami jej ust, wracała do życia tamta Ally, nastolatka, która kochała „chłopaka z deską surfingową”.

Te żądające wzajemności, całujące tak sugestywnie usta powodowały, że zapominała o swojej decyzji, by wyjść za Jona. Sprawiały, że zapominała o wszystkim.

Jego smak, zmieszany ze smakiem morskiej wody i ciepłego porannego słońca, przywiódł jej na pamięć wszystkie niewypowiedziane młodzieńcze

tęsknoty. Pomyślała: Dlaczego nie? Dlaczego nie mogłabym go mieć? Dlaczego nie miałabym go kochać? Przecież to mój mąż.

W tej chwili nawet nie zaświtały jej w głowie myśli stanowiące ich przeciwwagę: On chce być żonaty, bo tak mu wygodniej. Pragnie mnie, ale mnie nie kocha.

Nie było w niej już nic prócz pożądania.

Położyła ręce na jego nagich plecach, z rozkoszą wyczuwała gładką, rozgrzaną słońcem skórę. Jego palce zawędrowały pod jej mokry podkoszulek.

- Dlaczego masz na sobie tę cholerną koszulkę? - mruknął.

- A ty dlaczego masz na sobie te cholerne szorty? - zrewanżowała się.

Roześmiał się.

- Nie chciałem zaszokować mamy. Poza tym, skąd mogłem wiedzieć, że tu przyjdiesz?

Ally uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy. Ale to, co w nich zobaczyła, było za silne, za bardzo obezwładniające, więc odwróciła wzrok.

- Hej. - Głos miał cichy i czuły. - Al? Co się stało?

- N-nic. - Nic oprócz tego, że teraz już wiedziała, że nadal go kocha. I nie miała siły, by zwalczyć to uczucie.

To Peter był tym mężczyzną, którego kochała. Nie Jon. Peter był mężczyzną, którego pożądała. Nie Jon. To Peter był tym mężczyzną, z którym chciała spędzić życie. Z nim, i nikim innym.

Nie wiedziała, czy odczytał to z jej twarzy albo oczu. Wiedziała tylko, że zaparło mu dech w tym samym momencie, w którym i jej się to przydarzyło.

Szepnął coś i znów zaczął ją całować.

Ally zachwiała się i z całej siły przytrzymała Petera. Czowała nacisk jego ciała; pragnął jej, pożądał, tak jak ona jego.

I nagle wciągnął ją do wody!

Wypłynęli na powierzchnię w tej samej chwili.

- Co robisz? - wykrzyknęła.

Ale on po prostu zaczął płynąć do brzegu. Ally znała odpowiedź, zanim ją usłyszała.

- Wiesz dobrze co.

Rzeczywiście, wiedziała. Jeszcze chwila, a wywołałoby skandal, zaszokowali jego rodzinę i złamali wiele praw stanu Nowy Jork. To, że tak straciła panowanie nad sobą, przeraziło ją.

- Przepraszam.

- Ja też. I nie za to, że byśmy ich zaszokowali. Pamiętaj o tym.

Jednak gdy dopłynęli do brzegu i znaleźli się przed zgromadzonymi niemal w komplecie członkami rodziny, okazało się, że wcale nie są zaszokowani. Przeciwnie. Wznosili okrzyki, klaskali i wydawali się bardzo zadowoleni.

Gdy wysuszyli się na werandzie i weszli do kuchni, *Yiayia*, która siedziała w bujanym fotelu, uśmiechnęła się z aprobatą.

- Małe całowanko, co? Mówiłam ci, że masz to zrobić.

Peter cały się rozjaśnił.

- Moja babcia jest wszechwiedząca. - Pochylił się i ją też pocałował.

- O, tak. Babcie wszystko wiedzą - przyznała rozanielona.

## *ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY*

Dzisiejszą noc spędzi z Peterem. Czekala na to cały dzień.

Nie, właściwie nie czekała, bo to by sugerowało, że nie robiła nic innego. A ona czas miała wypełniony i cieszyła się każdą chwilą.

To był magiczny dzień.

Nie tylko dzień. Cały weekend był magiczny. Właściwie były to dwa najszcześniejsze dni w jej życiu.

Tak się bała tego wyjazdu. Ale od pierwszej chwili spotykała ją tylko radość. Uśmiechy i serdeczne uściski dały jej ciepło i poczucie przynależności, za jakimi zawsze tęskniła. Przyjęli ją z otwartymi ramionami, uznali ją za swoją.

A on?

Już nie stała nad brzegiem przepaści, rozdarta między mężczyzną, za którego wyszła z desperacji, i przyszłością, jaka czekała ją z Jonem.

Wprost przeciwnie, ruszyła do przodu.

To, co czuła, to była miłość. Prawdziwa miłość. Miłość, która narodziła się tyle lat temu, rosła mimo rozstania, i potrzebowała tylko jednego spotkania, by znów zapłonąć. Przynajmniej tak było, jeśli chodzi o nią.

Bo nadal nie wiedziała, co on czuje. Wiedziała tylko, że chce, by ich małżeństwo trwało - przynajmniej na razie. Bardzo jasno dał to do zrozumienia.

Ale było też oczywiste, że stan małżeński jest dla niego wygodny. I nie wyznał jej miłości. Właściwie nawet tamtego dnia, u siebie w gabinecie, przyznał, że nie może jej kochać.

Mimo to... miała nadzieję. Sposób, w jaki na nią patrzył... dotykał jej... całował...

Wreszcie zapadła noc, spotkanie przy ognisku zaczęło dobiegać końca. Ally poszła z Peterem do sypialni, nie wahała się. Wprost przeciwnie, złapała go za rękę, wciągnęła do pokoju i zamknęła drzwi.

Peter uniósł brew z lekkim zdziwieniem. Oczy miał pociemniałe, niemal senne. Teraz, bez zbędnych wyjaśnień, już wiedziała, co znaczy. Wystarczyło, że spojrzała na tego mężczyznę, którego usta znajdowały się zaledwie o kilka centymetrów od jej ust, którego przyspieszony oddech czuła na swojej gorącej skórze, którego pocałunki pragnęła smakować...

- Co z tobą? - spytała. - Jesteś chory? - Wcale by jej to nie zdziwiło. Raczej dziwne byłoby, gdyby ilość jedzenia, jaką wmusiły w niego i jego braci kobiety z rodziny, nie spowodowała mdłości.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, chyba że znów wyskoczysz z tym swoim „bez całowania”. Ale ty tego nie powiesz, prawda?

Oddała mu uśmiech, wspięła się na palce i musnęła ustami jego usta.

- A jak myślisz?

- Myślę, że nie powiesz. - I pogłębił pocałunek, najpierw delikatnie, a potem z coraz bardziej szaloną namiętnością.

Na taki pocałunek warto było czekać.

Ally zapomniała o swoich obawach, nerwach, niepewności. Mogła tylko odpowiedzieć na jego namiętność, otworzyć się, przyjąć go.

Było tak, jak tamtej nocy po ślubie, i nawet księżyc tak samo przesunął się po niebie, gdy się kochali, dotykali, szeptali i całowali, całowali i całowali. Jednak Ally wiedziała, że ta noc obiecywała więcej niż tamta.

Teraz mimo wszystko było inaczej, myślała, gdy wyczerpani i szczęśliwi leżeli w objęciach. To nie była tylko jedna chwila, a nawet nie tylko jedna noc. To był początek wspólnego życia.

A jeżeli się myli, ta noc będzie musiała jej wystarczyć na całe samotne życie.

Peter nie odzywał się, nie nazywał jej pieśczośliwymi słowami. Ale nie przejmowała się tym. Słowa nie znaczą wiele. Ważne jest to, co się okazuje drugiej osobie; to czyny mówią o tym, co się naprawdę czuje.

A prawda była taka, że Peter dał jej całe lata swojego życia. Dał jej czas na to, by dorosła, stała się kobietą, którą mógł traktować jak równą sobie, być z niej dumny i w końcu, przynajmniej miała taką nadzieję, pokochać.

Ally rozpaczliwie pragnęła być godna tej miłości. Teraz już wiedziała, czego pragnie. Zrozumiała, co musi dać.

Tym razem już nie musi odchodzić, żeby dowiedzieć się, kim jest. Tym razem zostanie, da mu siebie, podejmie małżeńskie życie i sprawi, że będzie szczęśliwe.

Tej nocy kochał się z Ally Maruyamą. Nie. Z Ally Antonides.

Czekał na to cały dzień.

Nie, nie dzień. Czekał dziesięć lat.

W pokoju, gdzie dorastał, w którym planował szaleńcze przygody i marzył o niemożliwym, trzymał w ramionach swoją żonę, obejmując ją troskliwie, zaborczo. Ally leżała z twarzą na jego piersi, jej włosy łaskotały go w nos. Spała mocno, zadowolona i nasycona.

On sam był bardziej niż zadowolony. Przynajmniej w tej chwili. Ale pewnie nie na długo. Musiał nadrobić dziesięć lat. Dziesięć lat bez niej.

Gdy brali ślub, był młody i niedoświadczony. Nie myślał o przyszłości, o konsekwencjach, działał pod wpływem instynktu.



I, gdy się nad tym zastanowić, instynkt dobrze mu poradził.

Jednak dziesięć lat temu nie wybiegał myślą poza tamtą jedną noc. Tak więc dał jej to, czego chciała - nazwisko na świadectwie ślubu i jedną noc w swoich ramionach. To było wtedy.

Teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat, był już innym człowiekiem. Miał nadzieję, że mądrzejszym. I o wiele bardziej odpowiedzialnym. Poza tym nie chciał dłużej żyć samotnie.

Pogłaskał Ally po włosach i uśmiechnął się, gdy rozprostowała palce na jego piersi.

- Znów? - spytała z sennym uśmiechem.

I już po chwili ich ciała kołysały się we wspólnym rytmie.

Tym razem nie dam jej odejść - przysięgł sobie. Nie stracę jej. Jeszcze nie jest za późno.

Musi sprawić, by została. Nie tylko na jedną noc. Na całe życie.

Tym razem da jej wszystko, całego siebie.

Obudziło ją pukanie do drzwi.

Leżała zaplątana w pościel i Petera, objęta jego ramieniem, twarz miała wciśniętą w jego szyję, kolano między jego kolanami.

Było to niewygodne, trochę zdrętwiała, ale było też cudowne. Nawet lepsze niż ich noc poślubna, bo teraz on był tu nadal i...

Pukanie powtórzyło się. Głośniejsze. Bardziej natarczywe.

Na pewno któreś dziecko. Wczoraj rano słyszała, jak biegają po korytarzu. Ale wczoraj nie budziłyby jej. Wczoraj jeszcze jej nie znały. Jednak w ciągu dnia bardzo się z nimi zaprzyjaźniła.

I nie tylko to się zmieniło.

Uniosła głowę i pocałowała zarośnięty policzek mężczyzny, który wszystko zmienił. Nie poruszył się, ale widocznie był naprawdę wyczerpany.

Znowu zapukano. Mocniej.

- Peter? Ally?

A więc to żadne z dzieci. Chyba rozpoznała głos Eliasa.

Delikatnie wyswobodziła się z ramion Petera. Nie chciała go budzić bez potrzeby. Mało spał tej nocy, a dziś też na pewno nie czeka go długi sen.

Wciągnęła koszulę nocną, chwyciła szlafrok i pobiegła do drzwi.

Otworzyła je na kilka centymetrów.

- Och, Boże - jęknął Elias. - Miałem nadzieję, że podejdzie Peter.

- Co się stało?

Najwyraźniej coś musiało się stać. Elias był bardzo blady. I miał zaciśnięte usta.

- Chciałem powiedzieć jemu, żeby powtórzył tobie...

Ally zaczęło walić serce.

- Mów!

- Dzwonił jakiś mężczyzna. Powiedział, że ma na imię Jon.

Elias milczał na tyle długo, że zdążyła pomyśleć z ironią: Jon nigdy nie dzwoni. Dlaczego zrobił to teraz?

- Twój ojciec miał atak serca.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Powinnam była zadzwonić! - Ally gorączkowo wrzucała rzeczy do walizki.

- Zadzwonić? Do kogo? - Peter jeszcze się nie rozbudził.

Zresztą jak mógł być przytomny, skoro nie spał prawie całą noc.

Cudowną noc miłości. Bajeczną, fantastyczną noc. Najlepszą noc w życiu...

A teraz Ally przemieniła się w wirującego derwisza. Próbował zrozumieć, co się dzieje. Jego spojrzenie padło na otwarte drzwi.

- Elias! Co do licha...

- *Yiayia* odebrała telefon - powiedział Elias, wyciągając aparat z kieszeni.

Ally wyrwała mu go i zaczęła wybierać numer.

- Ojciec Ally miał atak serca - kontynuował Elias. - Żyje - dodał szybko. -

Ale chyba nie jest dobrze. Babcia kazała mi powiedzieć o tym Ally.

Peter miał tysiące pytań. Na przykład, jakim cudem babcia miała komórkę jego żony?

Ally, zagryzając wargę, czekała na połączenie.

- Do licha, Jon, odezwij się! - wykrzyknęła. - Na miłość boską, oddzwon do mnie i powiedz, co z ojcem! I powiedz mu, że już do niego jadę!

Z trzaskiem zamknęła telefon i dalej wrzucała rzeczy do walizki.

Elias wyszedł, a Peter wstał. Ally znów próbowała się połączyć, a potem ze złością rzuciła telefon na łóżko.

- Powinnam była zadzwonić... - jęczała. - Nie powinnam była w ogóle wyjeżdżać.

- Myślisz, że twoja obecność powstrzymałaby atak serca? - spytał rozsądnie Peter.

Jednak Ally nie potrafiła już myśleć rozsądnie.

- Nie powinnam była go zostawiać! A przynajmniej powinnam była zadzwonić! Ja nie... Muszę jechać do domu. Teraz. - Popatrzyła na niego z rozpaczą, a jednocześnie jakby z wyzwaniem. Niech on tylko spróbuje ją powstrzymać.

Ale nic takiego nie zamierzał.

Przeciwnie, pojedzie z nią.

Za pierwszym razem pozwolił, by sama poszła do ojca - tego dnia, gdy się pobrali - powiadomić go o ślubie. Powiedziała, że właściwie go nie potrzebuje, że to nie jego problem, że sama potrafi to załatwić, a on jej uwierzył.

Tym razem miał za dużo do stracenia: swoje życie, przyszłość, kobietę, którą kocha.

Kocha?

To nie pożądanie. Nie fizyczne zaspokojenie. Nie zwyczajne kochanie się, chociaż w nocy robili to wiele razy. Nie, to było coś o wiele poważniejszego, głębszego, wszechogarniającego.

Przez te wszystkie lata miewał krótkie chwile olśnienia, że tym jest właśnie miłość: związkiem, nie wyłącznie fizycznym, lecz uczuciowym, a nawet duchowym.

I dokładnie to czuł wobec Ally. Teraz o tym wiedział. Zgadzał się na to. Pragnął tego.

Więc nie pozwoli jej znowu odejść.

- Ja się wszystkim zajmę - oświadczył, obejmując ją i mocno ściskając.

Ally czuła się chora. Zrozpaczona. Winna.

Tak jak mówiła do Petera, powinna była zadzwonić. I nie powinna była przyjeżdżać do jego rodziców. Ani w ogóle do Nowego Jorku.

Trzeba było wysłać papiery rozwodowe pocztą i zostać z ojcem.

Tyle że... wtedy Peter nie wróciłby do jej życia. Nie miałyby tego weekendu. Nie miałyby tej nocy.

Czy może tego żałować? Nie, nie może.

Bez przerwy próbowała dodzwonić się do Jona. Ale w odpowiedzi słyszała tylko nagranie w poczcie głosowej, które rozlegało się zawsze, gdy miał pilniejsze sprawy niż rozmowa z nią. Na ogół po prostu próbowała za jakiś czas. Nie traktowała tego osobiście. Jon był zapracowany.

Ale teraz jej ojciec miał atak serca! Czy mogło być coś ważniejszego?

- Zadzwoń do szpitala - poradził Peter.

Sam telefonował z własnej komórki, załatwiał swoje sprawy. Jego praca też oczywiście miała pierwszeństwo.

Przytulił ją. Czula jego silne ramię i przez chwilę pozwoliła sobie wesprzeć się na nim, dać mu się obejmować, pocieszać; słuchać, jak mówi, że wszystkim się zajmie.

Ale oczywiście nie mógł zająć się wszystkim. Nie w jego mocy jest przywrócenie ojcu zdrowia.

- Muszę zadzwonić do linii lotniczych.

- Już to zrobiłem. Mamy bilety na pierwszą. - Spojrzał na zegarek. -

Niedługo trzeba jechać. Zadzwoń do szpitala. Przynajmniej dowiesz się, jak ojciec się czuje.

- Tak. - Ale to może być zła wiadomość.

Ręce tak jej drżały, że nie mogła znaleźć numeru.

Peter wziął od niej aparat.

- Co to za szpital?

Tyle jeszcze pamiętała.

Znalazł numer w kilka sekund, wystukał i oddał jej telefon akurat w chwili, gdy ktoś odpowiedział.

Podawała nazwisko ojca, wystraszona, że go tam nie będzie. Że już go straciła, że jest za późno. Ale recepcjonistka powiedziała, że łączy ją z kardiologią. Z ulgi niemal ugięły jej się nogi.

Miała nadzieję, że trafi na którąś z pielęgniarek poznanych przy poprzednim pobycie ojca w szpitalu i dowie się więcej niż od kogoś nieznanego.

Dlaczego nie odpowiadają? Dlaczego nie podchodzą do telefonu? Skuliła się, zacisnęła palce na aparacie. I wtedy poczuła, że Peter masuje jej zeszywniałe ramiona. Niemal jęknęła, takie to było przyjemne.

Wreszcie w telefonie stuknęło i połączenie zostało podjęte.

- Alice? To ty!

- Jon!

Ręce na jej ramionach zamarły. Ledwo to zauważyła.

- Co z nim? Chyba nie... - słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

Ale Jon zrozumiał.

- Oczywiście, że nie. Nie byłoby go wtedy tutaj, prawda? Gdzie się podziewałaś? Ponad godzinę próbowałem cię złapać.

Tego nie mogła powiedzieć. Nie teraz.

- Tu... dopiero świta.

- Powinnaś mieć włączony telefon.

- Był. Nie słyszałam dzwonka. Powiedz, jak ojciec się czuje.

- Miał atak serca. Poważny. Teraz odpoczywa, jest przytomny. Jednak chyba nie muszę ci mówić, że jego stan budzi niepokój. - A potem zasypał ją wyjaśnieniami w żargonie lekarskim, przez co jak zwykle pomyślała, że może naprawdę jest za głupia, by go rozumieć, gdy mówi o swojej pracy.

Jednak w końcu skończył z medycznymi analizami i powiedział:

- Miał nadzieję, że zadzwonisz.

- Nie mówiłam...

- Wiem. Ale myślałem, że będziesz w kontakcie.

- Wiem... i naprawdę zamierzałam zadzwonić. Przepraszam. - Znow ogarnęła ją fala poczucia winy tłumiąca cichą myśl, że oni też mają telefony. Jon sam mógł do niej zadzwonić. Tak samo jak ojciec.

- Nieważne. Ciągłe jeszcze oceniamy jego stan. Oczywiście najbardziej krytyczna jest pierwsza doba. Medycyna nic o tym nie mówi, ale sędzę, że twój ojciec poczuje się lepiej, gdy będziesz tu z nim.

- Oczywiście. Już prawie jestem w drodze. Mam lot o... - Popatrzyła bezradnie na Petera.

Ścisnął jej ramiona.

- Troszkę po pierwszej - odpowiedział i przypomniała sobie, że już jej to mówił. Powtórzyła jego słowa Jonowi.

- Więc tu zdążysz na ósmą wieczorem. Nie wiem, czy będę mógł po ciebie wyjść. Lepiej weź z lotniska taksówkę.

- Jasne. - Wiedziała, że Jon nie będzie miał czasu. - Chciałabym... Czy mogę... - Ale uznała, że lepiej nie pytać, czy może porozmawiać z ojcem. - Powiedz mu, że go kocham. I że już jadę do niego.

- Powiem.

- I... Jon, przepraszam. Ja... - Chciała powiedzieć, że go kocha.

Automatycznie zawsze tak kończyła rozmowę. Ale słowa nie przeszły jej przez gardło.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem Jon powiedział:

- Muszę już iść, zbadać twojego ojca. Zobaczymy się wieczorem.

Ally nadal stała nieruchomo. Czuła się tak, jakby od najmniejszego nawet ruchu miała się rozpaść na kawałki.

I wtedy poczuła magiczne ręce Petera, znowu masujące rytmicznie jej ramiona. Poczowała jego oddech na karku. Był tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Rozpaczliwie pragnęła oprzeć się o niego, pozwolić mu się objąć, zabrać od niej ból.

Ale to ona sama ściągnęła na siebie ten ból. A ojcu go jeszcze nie zadała, lecz wkrótce to zrobi, gdy powie mu to, co musi zostać powiedziane.

- Chodź - powiedział Peter po chwili, wyjął jej z ręki telefon i objął ją w pasie. - Zaniesiemy bagaże do samochodu.

Rodzice Petera, rodzeństwo, w ogóle cała rodzina natychmiast otoczyli ją serdecznością. Głaskali, poklepywali, obejmowali. Matka i babcia usiłowały ją nakarmić, siostra zaproponowała homeopatyczne pastylki uspokajające.

Ojciec tylko parsknął z pogardą i usiłował wsunąć jej do ręki kieliszek *ouzo*.

- Tato, ona to zwymiotuje - powstrzymał go Peter.

I pewnie tak by się stało.

Ally próbowała być uprzejma, dziękować za ich troskę i jednocześnie wzorować się na ojcu, który zawsze potrafił zachować panowanie nad sobą.

Jednak obawiała się, że nie jest godna nazwiska Maruyama. Usta jej drżały, na rzęsach lśniły łzy. Może nawet by się nie załamała, gdyby nie to, że gdy już szli do samochodu, babcia zawołała, by poczekali, zbiegła ze schodów, objęła ją, i mocno uściskała.

Było tak samo, jakby ścisnęła ją własna babcia. Takie samo drobne ciało, to samo czułe spojrzenie, ta sama miłość. Nie wytrzymała i łzy popłynęły jej ciurkiem po twarzy.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie chciałam.



- Nic, nic, dobrze, że płaczesz - powiedziała *Yiayia*, poklepując ją po plecach. - Kochasz go.

- Tak, kocham. Ale... - Ale tylko częściowo płakała z tego powodu. Nie mogła się teraz tłumaczyć z winy, jaką odczuwała. - Dziękuję - szepnęła. - Za wszystko.

*Yiayia* uśmiechnęła się.

- Będzie dobrze. Zobacysz. A wracając, koniecznie przywieź tatę.

- Wszystko będzie dobrze. - Peter znów próbował zburzyć mur, za którym Ally się zabarykadowała.

Nie odpowiedziała, siedziała w kamiennym milczeniu. Od czasu do czasu tylko cicho łkała.

- Gdy tam dojedziesz, może już siedzieć przy kolacji - kontynuował, klepiąc ją po kolanie w niezręcznej próbie dodania jej ducha. Jak można pocieszyć kogoś, kto nie chce być pocieszony?

- Nie będzie.

- Ally, posłuchaj. Zawsze mówiłaś, że to twarde. Jak możesz nawet myśleć, że się podda bez walki?

Przełknęła ślinę i pokręciła głową.

- Nie wiem. Walczył, ale... - głos jej się załamał.

- I chce zobaczyć swoje wnuki - mówił dalej Peter stanowczo. - Przecież zrobi wszystko, by ich doczekać.

Z oczu Ally znów popłynęły strumienie łez. Nie odezwała się aż do lotniska. Wtedy oprzytomniała.

- Co robisz? O wiele szybciej byłoby, gdybyś podwiózł mnie do terminalu.

- Musiałbym cię gonić na piechotę. A samolot i tak nie odleci ani minuty wcześniej. Chodź.

Ally wysiadła z samochodu i patrzyła, jak Peter wyciąga z bagażnika walizki.

- Czyje to jest? - spytała zdumiona, wskazując tę, która nie była jej.

- Moje. Ja też lecę.

Pokręciła głową.

- Nie! Nie możesz. To znaczy, chciałam powiedzieć, że nie musisz ze mną lecieć.

- Ale chcę. I lecę z tobą.

- Peter, to naprawdę nie jest potrzebne.

- Jest potrzebne. Mam bilet i jadę.

Przed wejściem na pokład zadzwoniła jeszcze do szpitala. Stan ojca był stabilny, jak poinformowała ją pielęgniarka.

- To znaczy, że się trzyma - uspokajał ją Peter, ściskając jej lodowatą rękę.

Ona też ścisnęła jego dłoń, tak mocno, że aż zaboląło. Ale nawet się nie skrzywił. Gdyby mógł, wziąłby na siebie cały jej żal i strach. Zrobiłby dla niej wszystko.

Pocałował ją w czoło.

- Ally, ty też musisz się trzymać.

- Tak.

W tym całym nieszczęściu przynajmniej jedna rzecz była dobra. Ponieważ właściwie nie spała przez ostatnie dwie noce, przespała teraz cały jedenastogodzinny lot. Natomiast Peter nie zmrużył oka.

W którymś momencie Ally obudziła się na chwilę i popatrzyła na niego.

- Nie mogę uwierzyć, że to robisz.

- Więc uwierz.

- Masz własne życie.

- Mam żonę.

Ally leciutko się uśmiechnęła. A potem znów zasnęła.

Gdyby Ally chciała się dowiedzieć, czym jest czuła opieka, dziś miała tego idealny przykład. Peter był przy niej przez cały czas. Spakował ich rzeczy, załatwił bilety, zawiózł ją na lotnisko, trzymał za rękę, pozwolił spać na swoim ramieniu i wycierać nos w swoją chusteczkę. W Honolulu wynajął samochód, podczas gdy ona gorączkowo usiłowała się dodzwonić do Jona, a potem zawiózł prosto do szpitala.

Była mu za to wdzięczna. Kochała go za to.

Prawda była taka, że po prostu go kochała.

- Wysadź mnie przed głównym wejściem. Będzie szybciej! - zawołała, gdy skręcił przed szpitalem na parking.

- Dobrze. Spotkamy się w środku.

- Nie! - powiedziała szybko, chcąc już to mieć za sobą. - Muszę iść sama.

- W żadnym wypadku. Zeszłym razem poszłaś sama.

Zeszłym razem?

- Myślisz o...

- Gdy się pobraliśmy, sama mu o tym powiedziałaś. Tym razem nie będziesz sama.

- Muszę. Nie możesz iść ze mną.

- Dlaczego?

Spojrzała w bok, nie chciała widzieć jego zranionego wzroku.

- To nie tak, że nie chcę, żebyś ze mną był - próbowała wyjaśnić. - Po prostu... on nie wie o tobie. I o mnie. Myśli, że Jon... Spodziewa się, że Jon... - Nie mogła skończyć. Ale nie musiała.

Peter zacisnął usta.

- Mówisz, że to go zabije.

- Nie wiem. - Głos jej zadrżał. - Ale nie mogę ryzykować. Nie mogę powiedzieć mu teraz. Potrzebuję trochę czasu. On wyzdrowieje. Wiem, że wyzdrowieje. Będzie chciał cię poznać...

Ale oboje wiedzieli, że to nieprawda. Ostatnią osobą, jaką jej ojciec chciałby poznać, był Peter, mężczyzna, którego przez te wszystkie lata winił za utratę córki. Teraz jego widok rozjątrzyłby tamte rany. Bo to on był tym mężczyzną, który wtedy umożliwił Ally odejście, a teraz stał między nią a Jonem.

- Porozmawiamy o tym później. Obiecuję. Nie będę tam długo. Nigdy na to nie pozwalają. Teraz zobaczę się z ojcem i z Jonem. Pół godziny. Proszę.

Zacisnął ręce na kierownicy tak, że aż pobieleły mu kostki palców.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie chcę, żeby ojciec umarł. Nie chcę być przyczyną jego śmierci.

- Wiem - powiedział przez zaciśnięte zęby. Konwulsyjnie złapał oddech i podjechał do wejścia. - Więc idź.

Ally wysiadła, ale jeszcze się odwróciła.

- Nie musisz czekać w samochodzie. Przyjdź na oddział kardiologiczny. Jest tam poczekalnia. Przyjdziesz?

- Tak.

Pochyliła się i szybko go pocałowała.

- Dziękuję. Jesteś taki dobry. - A potem odwróciła się i pobiegła do szpitala.

To samo powiedziała mu w dniu ślubu.

Wymienili przysięgi, stali się małżeństwem, a gdy wychodzili z sądu, wzięła go pod rękę i spojrzała mu w oczy z serdecznym uśmiechem.

- Dziękuję. Jesteś taki dobry - powiedziała.

Ciekawe, czy to pamięta?

Na pewno nie w tej chwili. W tej chwili myślała tylko o ojcu. I nie mógł jej tego mieć za złe. Gdyby jego własny ojciec był taki chory, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by mu nie zaszkodzić. Kochał go nawet wtedy, gdy ojciec komplikował mu życie. I Ally też kochała swojego ojca mimo przykrości, jakich od niego doświadczyła.

Rozumiał też, dlaczego ona nie chce, by teraz się z nim spotkał. Chociaż to jąrzyło. Gorzej. Bolało.

Nigdy go nawet nie poznał! Własnego teścia!

Zaparkował i zastanowił się, co robić. Ale nie trwało to długo. Nie po to przebył tę całą drogę, by teraz odchodzić.

Do licha, Ally jest jego żoną, a on ją kocha. Nie będzie się wtrącał, nie zamierza stwarzać problemów ani jej, ani jej ojcu. Ale jeżeli Ally będzie go potrzebowała, będzie tu czekał, blisko, o jedno uderzenie serca od niej.

Ruszył do drzwi szpitala. W recepcji spytał o salę pana Maruyamy.

- Numer cztery - powiedziała pielęgniarka. - Wolno wchodzić tylko członkom rodziny.

Mógłby się wyklócać. Bo przecież należał do rodziny. Ale to tylko pogorszyłoby sprawy.

Doszedł do oszklonej ściany sali.

Ally stała przy łóżku, trzymała ojca za rękę i łagodnie głaskała go po włosach. Już nie wydawała się taka przestraszona i zrozpaczona.

Niemal biegiem wpadł do sali mężczyzna w białym fartuchu i mocno uściskał Ally. Peter zauważył, jak szara z wycieńczenia twarz jej ojca rozświećla się na widok tego człowieka.

Jon.

Peter nie poruszył się. Stał tylko i patrzył.

Nie słyszał, co mówią. Nie potrzebował. Widział, jak Jon bierze wszystko w swoje ręce, sprawnie, zręcznie, na twarzy miał wyraz zatroskania, gdy rozmawiał z panem Maruyamą, a uśmiech, gdy zwracał się do Ally.

Ojciec Ally rozpromienił się, patrząc na nich dwoje. Wziął Ally za rękę, drugą rękę z trudem wyciągnął do Jona.

Ally chwilę się zawahała, a potem, gdy Jon wysunął rękę na jej spotkanie, pozwoliła, by zacisnął palce wokół jej palców.

- Jakie szczęśliwe zakończenie - powiedziała przechodząca obok Petera pielęgniarka.

A on chciał wpaść do sali, rozerwać te złączone ręce, zmazać pewny siebie uśmiech z twarzy Jona i wyraz zadowolenia z twarzy ojca Ally. Chciał powiedzieć: „Do diabła, ona jest moja! Jest moją żoną. Należy do mnie. Kocham ją!”

Ale to właśnie miłość go powstrzymała.

Głębokie uczucie, które nie zna egoizmu, zatrzymało go tu, na zewnątrz. Miłość, prawdziwa miłość, nie zważa na to, czego sam chcesz.

A miłość do Ally nie oznaczała posiadania. Oznaczała pragnienie tego, co było dla niej najlepsze.

Nie zdobędzie jej, unicestwiając nadzieje i marzenia jej ojca. Peter znał Ally wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że poczucie winy by ją zniszczyło. I zniszczyłoby także ich wzajemną miłość.

Gardło miał zaciśnięte, z trudem oddychał.

Pielęgniarka położyła mu rękę na ramieniu.

- Dobrze się pan czuje? Może pan usiądzie? Doktor Tanaka albo pani Maruyama na pewno niedługo wyjdą do pana. Powiem im, że pan tu jest.

Pokręcił głową.

- Nie. Muszę iść.

Ale się nie poruszył. Chciał patrzeć, zapamiętać, zatrzymać na zawsze w sercu.

I wtedy Ally obejrzała się i go spostrzegła. Widział, jak cała tężeje. Rozumiał ją. Gdyby wszedł do sali, zniszczyłby wszystko, co ona kocha.

Pił wzrokiem jej widok, jej słodkie usta, nieskazitelną cerę, czarne jak niebo o północy włosy, cudowne oczy. Sam zamknął swoje na moment, przytrzymał tę wizję, jakby wypalał ją w duszy. A potem jeszcze raz na nią spojrzął, uśmiechnął się do niej smutno, tak jak ona do niego w samolocie.

Teraz to zrozumiał, poczuł w sercu, w głębiach duszy.

Potem odwrócił się i odszedł.



## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Oczywiście potrwało to dłużej niż pół godziny.

Ally wiedziała, po poważnym spojrzeniu, jakim Peter ją obrzucił przez szybę sali, że nie jest zadowolony.

Ale na pewno rozumiał, że nie może tak sobie po prostu wyjść do niego. A on zrozumiał jej życzenie i nie wszedł do sali.

Jednak gdy w końcu wyszła, nie było go.

Ani w poczekalni, ani na dole. Sklep z drobiazgami, pomyślała. Może poszedł tam kupić sobie jakieś pismo. Nie znalazła go. Ani w kafeterii.

Zapewne znudził się czekaniem i wyszedł na spacer. Nie miała mu tego za złe. Żałowała, że nie może poprosić go do sali. Ojciec był za bardzo chory. Najmniejsze zdenerwowanie mogłoby okazać się fatalne.

Nie potrzebowała do tego dziesięciominutowego wykładu, jaki Jon jej wygłosił, gdy ojciec zasnął. Starał się być pomocny, ale jedynie pogłębił jej poczucie winy.

Wiedziała, że będzie musiała porozmawiać z nim, powiedzieć mu, co się wydarzyło. Ale nie wiedziała, jak to zrobić, żeby zadać mu jak najmniej bólu. I jak powiedzieć ojcu.

Gdzie może być Peter? Gorączkowo rozglądała się na wszystkie strony.

Uspokój się, nakazała sobie. Pewnie poszedł coś zjeść. Minęły przecież całe godziny od ich ostatniego posiłku. Wróci do ojca. Peter wie, gdzie jej szukać.

Siedziała przy ojcu już dłuższy czas, gdy nagle zobaczyła za drzwiami walizkę podobną do jej własnej.



Podeszła tam. Serce waliło jej jak oszalałe. Usta miała suche. To niemożliwe! Ale nie myliła się. To była jej walizka.

Pobiegła do pielęgniarki.

- Ta walizka w pokoju mojego ojca... Skąd się wzięła?

- Zostawił ją tamten pan. Pani była z ojcem i...

- Kiedy?

- Och, jakieś dwie godziny temu. Powiedział, że pani będzie jej potrzebować.

- Gdzie on jest? Gdzie poszedł? - Serce niemal jej się zatrzymało.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Wydawał się chory. Zmęczony. Spytałam, czy nie potrzebuje pomocy. Ale on powiedział tylko, że musi iść.

- Iść? Gdzie?

- Wszedł, potem przyniósł walizkę i sobie poszedł.

Na dobre?

Ally czuła się tak, jakby nie było dość powietrza w całym szpitalu, na całym świecie, by mogła złapać oddech.

- Dobrze się pani czuje?

- Tak, tylko muszę usiąść - udało jej się powiedzieć.

I wróciła do sali. Ojciec otworzył oczy, gdy zatrzeszczało krzesło, na którym siadała.

- Moja dziewczynka - wyszeptał i wyciągnął do niej rękę.

Miała świadomość, że ojciec jej potrzebuje. Chce, żeby była przy nim. Ale nawet gdy poczuła jego zimne palce w swojej dłoni, myślała tylko o tym, jak Peter wspierał ją i troszczył się o nią przez cały ten dzień.

Teraz odszedł.

To proste, mówiła sobie przez następne dni, siedząc przy ojcu. Peter jej nie kocha.

Nigdy nie wyznał jej miłości. Sprawiał, że słabła z pożądania, że oszalała na jego punkcie. Nie zgodził się podpisać dokumentów rozwodowych, bo jest mu wygodnie mieć żonę.

Ale jej nie kocha. A może jednak kocha?

Już nie bała się miłości ani tego, czego miłość mogłaby od niej wymagać. Była silna. Teraz już wiedziała, kim jest. Walczyła o to wiele lat, ale było warto.

I nie osiągnęła tego tylko własnymi siłami.

Nigdy nie doszłaby do tego wszystkiego bez daru, jaki złożył jej Peter. Nie tylko daru małżeństwa dziesięć lat temu, lecz daru miłości.

On ją kocha.

Odszedł z jej życia, to prawda, ale nie dlatego, że jej nie kocha. Odszedł właśnie dlatego, że ją kocha.

Dlaczego przywoziłby ją na Hawaje, gdyby go nie obchodziła, gdyby jej nie kochał? Mógł ją wsadzić do samolotu, powiedzieć żegnaj, i wrócić do własnego życia.

Dlaczego zabierałby ją do rodziców? Nie potrzebował jej, by się obronić przed Connie Cristopolous.

Zabrał ją tam, by jej pokazać, czego w jej życiu brakowało. I żeby włączyć ją do grona swojej rodziny.

Dlaczego miałby robić to wszystko, gdyby jej nie kochał?

To nie Peter nie wierzył w miłość, uświadomiła sobie teraz.

To ona w nią nie wierzyła.

Albo raczej nie wierzyła w nią dawna Ally. Wystraszona Ally. Ally, którą matka osierociła tak wcześnie, i której ojciec, jak się wydawało, utożsamiał miłość z obowiązkiem i wymaganiami.

Ale nowa Ally, dzisiejsza Ally, już wiedziała, że to nie tak.

Zaczynała rozumieć, czym naprawdę jest miłość. Widziała ją. Odczuwała ją. Trzymała w ramionach.

To był dar Petera: wiara w jej możliwości, w to, że stanie się taką kobietą, jaką chciała być. Jego troska o nią, szlachetność, wsparcie.

W pewnej chwili się rozplakała. Przybiegły zaniepokojone pielęgniarki.

- Kochanie, jesteś wyczerpana - powiedziała któraś. - Musisz iść do domu, odpocząć. Zaopiekujemy się twoim ojcem.

On nie słyszał jej łkań. Spał spokojnie, wyglądał trochę lepiej, wydawał się mniej wycieńczony.

Ale co się stanie, gdy mu powie...?

Mogła zrealizować wszystkie swoje wcześniejsze plany. Mogła dostać rozwód, wyjść za Jona, mieć dziecko, uszczęśliwić ojca. Mogła zrobić to wszystko - bez Petera.

Bo kochał ją wystarczająco mocno, by ofiarować jej ten dar.

Ale gdyby tak postąpiła, odrzuciłaby od siebie drugą połowę swojej duszy.

Jon przyjął wiadomość filozoficznie.

- Wiedziałem - powiedział. - Zrozumiałem to zaraz, gdy tylko pojechałaś do Nowego Jorku.

- Ale ja wtedy jeszcze nie wiedziałam... - tłumaczyła Ally.

Jon uśmiechnął się ze smutkiem.

- Chyba jednak wiedziałaś. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz żałowała.

Ally też miała taką nadzieję.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego - dodał jeszcze.

- I ja tobie też - odpowiedziała szczerze. - I wiem, że nadal będziesz dobrym przyjacielem dla mojego ojca.

- Oczywiście. Jestem dobrym lekarzem.

- I dobrym przyjacielem - nalegała Ally. - Jestem pewna, że poznasz inną kobietę. Odpowiednią dla ciebie.

Jon uprzejmie się uśmiechnął.

- Ja też mam taką nadzieję.

Ally dla siebie nie spodziewała się niczego takiego. Dla niej nie istniał nikt inny. Tylko Peter.

Tak więc doznała szoku, gdy wieczorem, po powrocie do domu, zastała kopertę zawierającą podpisane papiery rozwodowe.

Próbowała sobie wmówić, że to część daru miłości.

Ile razy można odtrącać mężczyznę, zanim będzie miał tego dosyć? Wolą o tym nie myśleć.

Gdyby była pewna, że stan ojca się nie pogorszy, wróciłyby do Nowego Jorku w tej samej chwili, gdy zrozumiała, że Peter ją kocha. Ale inną rzeczą było wiedzieć, że nie wyjdzie za Jona, a zupełnie inną powiedzieć o tym ojcu.

Teraz już nie leżał na oddziale intensywnej opieki. Przeniesiono go do prywatnej sali. Gdy Ally go odwiedzała, często siedział i rozwiązywał krzyżówki. Nadal był słaby, ale mógł dojść nawet do końca korytarza.

- Czy on umrze, jeżeli mu powiem, że nie bierzemy ślubu? - spytała wczoraj Jona.

Tym razem nie wygłosił dziesięciominutowego wykładu.

- Mam nadzieję, że nie - odparł po prostu.

Ale nie zaproponował, że sam go poinformuje.

I nie mogła mieć do niego o to pretensji. Tak więc na nią spadł ten obowiązek.

Tak samo jak poprzednim razem.

Jednak teraz było gorzej. Chciała jeszcze poczekać. Ale ojciec coś wyczuł.

- Jesteś taka cicha - powiedział poprzedniego dnia. - Błada. Jesteś blada, odkąd wróciłaś do domu. Źle się czujesz? Poproś Jona, żeby cię zbadał.

Pokręciła głową.

- To nie jest nic takiego, w czym Jon mógłby pomóc.

Dziś uważnie na nią popatrzył, gdy wchodziła do pokoju.

- Nie jest lepiej.

Zdziwiła się.

- Nie czujesz się lepiej? - Wydawało jej się, że ojciec nie wygląda źle.

- Nie ja. Ty. Alice, co się dzieje? Kłóćcie się, ty i Jon?

- Nie. Nie kłócimy się. - Chciała na tym poprzestać. Ale wiedziała, że nie może. - Tato, nie pobierzemy się.

Przez długą chwilę nie poruszył się. Jego wyraz twarzy się nie zmienił. Wydawało się nawet, że nie oddycha. Ale przynajmniej nie padł na miejscu martwy.

- My nie... ja - poprawiła się. Nie mogła zrzucać winy na Jona. - Nie wydaje mi się, że powinniśmy brać ślub. - Zamilkła. Patrzyła na ojca. - Tato, proszę, oddychaj! Ja... ja go nie kocham.

- Miłość... - wykrztusił ojciec.

Wydawało się, że to słowo go dusi.

Już miała dzwonić po pielęgniarkę. Ojciec pokręcił głową, wyciągnął rękę. Ally czekała, cała skulona z napięcia.

- Miłość - powtórzył. Teraz już oddychał z większą łatwością. - Tak. Ty musisz kochać.

Ally spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- To prawda. Wiem o tym. Z powodu twojej matki.

Hiroshi Maruyama nigdy nie mówił o zmarłej żonie. Po jej śmierci zamknął się w sobie. Ally odczuwała stratę matki tak, jakby słońce spadło z nieba. Dla jej ojca była to wymówka, by jeszcze więcej pracować.

- Kochałem twoją matkę - powiedział cicho. - A miłość czasami oznacza ból. Gdy umarła, ja też umarłem. Wewnątrz. Nie chciałem bez niej żyć. Tyle bólu... - Wydawało się, że wpatruje się gdzieś daleko w przestrzeń. W jego oczach zalśniły łzy. A potem spojrzał z powrotem na Ally. - Alice, nie chciałem, żebyś i ty poznała taki ból.

Ally wzięła go za rękę. Szczupłe palce owinięły się wokół jej dłoni. Palce, w których było już trochę siły.

- Właśnie dlatego namawiałem cię, żebyś wyszła za Kena. To byłoby rozsądne posunięcie. Nie małżeństwo z miłości. Wtedy, jeżeli coś by się stało, nie cierpiałabyś tak. - Pokiwał głową. - Czasami bywam bardzo głupi.

- Nie, tato. Ty po prostu martwiłeś się o mnie.

Martwił się. Ally zaczęła to rozumieć. I doceniać jego pobudki, chociaż nie postępowanie.

- Ale myliłem się. Teraz to wiem. Przed miłością nie można się obronić. Miałem twoją matkę przez trzynaście lat. Najlepsze trzynaście lat - jego oczy zalśniły na wspomnienie - mojego życia. Nie bardzo długo, ale warte to było całego późniejszego cierpienia. Warte wszystkiego. Kochałem ją. Dla niej samej. I za ciebie, Alice. Za dar, jakim byłaś ty.

I trzymanie go za rękę już jej nie wystarczyło. Ally opadła na kolana i wtuliła twarz w jego pierś. Poczuła obejmujące ją chude ramiona, usta ojca na swoich włosach. Potem ojciec rozluźnił uścisk i pogłaskał ją po głowie.

Spojrzała na niego, zobaczyła łzy spływające mu po policzkach. Sama też musiała wytrzeć swoje.

- Ty też kochasz - powiedział.

To nie było pytanie.

Skąd wiedział? Pochyliła głowę; poczuła, jak ojciec głaszcze ją po włosach, i uświadomiła sobie, że oczywiście musiał wiedzieć. Mężczyzna, który kochał tak jak on, musiał zobaczyć miłość w oczach swojej córki.

Uniosła głowę i zamrugła, by odpędzić łzy.

- Tak.

- Idź do niego. I przywieź go tutaj, żebym mógł go poznać.

- Tato, my już jesteśmy małżeństwem - powiedziała drżącym głosem.

Uśmiechnął się łagodnie.

- To dobrze. Czyli będę miał wkrótce wnuki.

- Jak to: nie ma go? - Ally spojrzała na Rosie, asystentkę Petera, czując się tak, jakby ktoś wymierzył jej cios prosto w żołądek.

Przyjechała zeszłego wieczoru, tak szybko, jak tylko zdołała, po rozmowie z ojcem. Przyjechała z jego błogosławieństwem. Niemal śpiewała ze szczęścia przez całą drogę do Nowego Jorku. Poszła prosto do domu Petera, nie mogąc się doczekać spotkania.

Ale jego nie było.

Czekała aż do zmroku.

A teraz dowiedziała się, że w biurze też go nie ma.

- Kiedy wróci?

- Nie powiedział.

- Muszę z nim porozmawiać. Gdzie jest?

- Tego też nie wiem. - Wskazała głową drzwi gabinetu. - Może oni coś wiedzą.

- Kto? - Ale właściwie to nie miał żadnego znaczenia.

Wyminęła Rosie i pchnęła uchylone drzwi.

Za biurkiem zobaczyła Lukasa. Elias siedział na podłodze, omawiając coś z Lukaszem, a jego dwaj synkowie wspinali się na niego.

Obaj spojrzeli ze zdumieniem na Ally. Elias pierwszy się otrząsnął.

- Najwyższy czas - mruknął. - To wszystko twoja wina.

Teraz ona się zdziwiła.

- O czym mówisz?

- O powodach, dla których tu jestem. I dla których on - wskazał palcem Lukasa - też tu jest.

- A gdzie jest Peter?

- Wyjechał. Zniknął. Opuścił firmę.

- Raczej powiedziałbym, że to jego opuścił zdrowy rozsądek - mruknął Lukas.

- Gdzie pojechał? Muszę z nim porozmawiać.

- Porozmawiać? - Obaj bracia spojrzeli na nią podejrzliwie. - O czym?

Ally zawahała się. Jednak im też może to wyznać. Teraz już nie chciała się kryć ze swoją miłością.

- Kocham go. Muszę mu o tym powiedzieć.

- Alleluja - mruknął Lukas. - A więc jeszcze jest nadzieja.

- Chyba tak - powiedziała Ally niemal rozpaczliwie. - Wiecie, gdzie on jest?



- Nie jestem pewny - odparł Elias, wstając z podłogi, a bliźnięta od razu głośno zaprotestowały. Napisał coś na kawałku kartki i podał go Ally. - Spróbuj tam. Spokój, dzieciaki. Już do was wracam. - Znów usiadł na podłodze. - Tallie piecze dziś coś specjalnego na wystrzałowe wesele kuzynki, więc ja tu robię za niańkę. I pilnuję Lukasa.

- Pilnujesz? - powtórzyła Ally, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Żeby dobrze się zajmował firmą - wyjaśnił Lukas ponuro. - Więc sprowadź go jak najszybciej. Bo jeżeli tego nie zrobisz, w końcu każą mi być prezesem Antonides Marine.

Kauai?

Ally patrzyła na zapisane na kartce słowo. Po co Elias dawałby jej jakiś adres na Kauai? Przecież właśnie przyjechała z Hawajów. Nie знаła nikogo na Kauai.

Peter nigdy nie wspominał o Kauai. To nie miało żadnego sensu.

Ale musiała od czegoś zacząć. Więc pierwszym dostępnym lotem wróciła na Hawaje.

Prowadziła wypożyczony samochód po polnej drodze, mając przeświadczenie, że szuka wiatru w polu. Jeżeli w końcu znajdzie Petera, a on jej powie, żeby sobie poszła, myślała ponuro, przecierając oczy szczypiące z niewyspania, będzie miała przynajmniej tę pociechę, że latając w tę i z powrotem, nabiła sobie na kartę pasażera mnóstwo kilometrów.

Miała wrażenie, że podróżuje od zawsze. W końcu już nie wiedziała, jaki dziś jest dzień. Leciła z Honolulu do Nowego Jorku, potem z powrotem, przez San Francisco do Honolulu, a stamtąd na Kauai. Nie zatrzymała się nawet, by zajrzeć do ojca.

Nie chciała widzieć jego rozczarowania, gdyby wróciła bez Petera.

A teraz na dodatek chyba się zgubiła.

Człowiek w wypożyczalni samochodów aż zamrugał, gdy podała mu adres. Potem spojrzął na swój GPS i wyjaśnił jej, jak tam dojechać.

- Prosto na odludzie - powiedział. - Potem zakręt i jeszcze kawałek.

Nie przesadzał. Kilka kilometrów wcześniej asfalt przeszedł w żwir, a teraz nie było już nawet żwiru.

Czuła się tak, jakby jechała donikąd. Przedzierała się przez dżunglę, wjeżdżała na wzgórza, zjeżdżała w doliny. Gęste drzewa zatrzymywały wszelki przewiew. Była mokra od potu. Może przegapiła zakręt? Ale nie widziała do tej pory nic, co chociażby przypominało jakiś zakręt.

A potem gdy już zważyła, że kiedykolwiek trafi na ten dom, albo w najgorszym wypadku znajdzie drogę powrotną, dojechała w końcu do zakrętu. Droga otwierała się na porośniętą bujną roślinnością dolinkę, i tam, na niewielkim wzniesieniu stał dom. Długi, w stylu indonezyjskim, otoczony palmami.

Zatrzymała samochód, usłyszała śpiew ptaków, szelest palmowych liści, szum łamiących się fal, i serce zaczęło jej walić.

Przestała już nawet sobie wyobrażać, jak to będzie, gdy znajdzie Petera. Żyła nadzieją przez cały lot do Nowego Jorku, po drodze do jego domu, przez całą noc w hotelu, idąc do jego biura, cały lot z powrotem na Hawaje i Kauai, całą drogę, którą przebyła na ten koniec świata.

Dom przywodził na myśl Shangri-La: otwarty i przewiewny, z miejscowego kamienia i drewna, pasował do krajobrazu. Zapewne zbudował go jakiś ekscentryczny miliarder, bo na pewno nie Peter.

Ally chwyciła torbę, poszła do drzwi i zapukała. Nikt nie odpowiedział. Jednak okna były otwarte. Zapewne więc drzwi także. W końcu kto by się tu włamywał?

- Jest tu ktoś?! - zawołała.

Nadal nie było żadnej odpowiedzi.

Nie ruszy z powrotem w tę całą długą drogę. Po prostu nie może. Zabawi się w Śpiącą Królową. Zaczeka, aż ktoś przyjdzie i ją obudzi. Może właściciel domu poda jej jakąś następną wskazówkę, gdzie szukać Petera.

Nacisnęła kłamekę. Drzwi się otworzyły. Zawahała się, a potem weszła. Wewnątrz dom był tak samo piękny jak na zewnątrz. Tekowe podłogi, rattanowe meble, kominek z miejscowego kamienia, na ścianach kilka masek, i bardzo stara deska surfingowa obok kanapy. A nad kominkiem gobelin, który... wydawał się zdumiewająco znajomy.

A przecież nie widziała go od lat.

Przez długą chwilę przypatrywała mu się w oszołomieniu.

Dobry Boże, więc tutaj jest. Gobelin, który utkała w pierwszym roku pobytu w Kalifornii, gdy tak bardzo tęskniła za domem. Ten z plażą, na której poznała Petera. Ocean we wszystkich odcieniach błękitu i zieleni, domy, sklepy. Wykonanie było amatorskie. Teraz to wiedziała, zresztą wiedziała o tym i wtedy. Ale zakłęła w nim wspomnienia. Czas. Miejsce. Rzeczy, które znaczyły tak wiele tylko dla niej, dla nikogo innego.

A jednak ktoś go kupił. Zawsze wyznaczała na niego wysoką cenę, za wysoką, by kogoś skusiło. Technicznie nie był zbyt dobry.

Tyle że pewnego dnia został sprzedany.

I jest tutaj. Przeciągnęła palcami po jego wystrzępionym brzegu. I uśmiechnęła się.

Już nie musiała się zastanawiać, kto tu mieszka.

Rozejrzała się jeszcze raz. Teraz patrzyła na ten dom nowym spojrzeniem. Nie był nowy. Lecz gruntownie go odrestaurowano.

Podeszła do okna. Rzeczywiście, weranda wyglądała na świeżo wykończoną.

A mężczyzna, który się tym zajmował, właśnie wracał z plaży.

Był bez koszuli, z gołą głową, obsypany piaskiem i opalony na brąz.

Niósł deskę surfingową. Wyglądał pięknie. Ale nie wydawał się szczęśliwy.

Ally była ciekawa, czy na jej widok poczuje się trochę lepiej.

A może jest już za późno? Może za bardzo zwlekała?

Wzięła głęboki oddech i pchnęła drzwi na werandę. Zaskrzypiały.

Peter spojrzał w jej stronę i zamarł.

Nie poruszył się. Nawet nie mrugnął. Po prostu stał i patrzył na nią.

Wypuścił powietrze z płuc.

- Al? - wyszeptał.

Uśmiechnęła się niepewnie, zrobiła krok w jego kierunku.

- Twój głos skrzypi jeszcze bardziej niż drzwi.

- Nie... nie miałem dużo okazji, by go używać.

Nadal się nie poruszył.

Więc to ona będzie musiała przejść całą drogę. Właściwie to całkiem sprawiedliwie. Przeszła na koniec werandy.

- A ze mną porozmawiasz?

- O czym? - spytał ostrożnie.

- O powrocie do Nowego Jorku. - Uśmiechnęła się. - Lukas cię tam potrzebuje.

- Nie wrócę dla Lukasa.

- A dla mnie?

Nastąpiła jeszcze jedna krótka chwila milczenia.

Peter zrobił trzy kroki, które ich dzieliły, chwycił ją w ramiona. Przywarł do niej tak, jakby nigdy już nie zamierzał jej puścić.

Uświadomiła sobie, że cały drży. Ona też miała miękkie kolana.

- Co się stało? - spytał. - Twój ojciec...?

- Chce cię poznać.

Popatrzył na nią zaskoczony. Skinęła głową, uśmiechnęła się.

- Powiedziałam mu, że cię kocham.

Na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech.

- I nie padł trupem?

- Będzie się trzymał, żeby doczekać wnuków. Tak jak mówiłeś.

Peter otoczył Ally ramionami tak mocno, że ledwo mogła oddychać.

Nieważne. Czowała się cudownie. Idealnie. Czowała się tak, jakby w końcu znalazła swój dom i mężczyznę swojego życia.

Po jakimś czasie Peter leciutko rozluźnił uścisk i poprowadził ją do domu.

- Jak mnie znalazłaś?

- Pojechałam do Nowego Jorku. Do twojego mieszkania. Nie było cię tam. Poszłam do biura. Widziałam się z Lukaszem i Eliaszem. Jadąc tu, myślałam, że Elias kazał mi szukać wiatru w polu. Bo to jest naprawdę odludzie. To twój dom?

- Kupiłem go pięć lat temu.

- Pięć lat temu nie mieszkałeś w Nowym Jorku.

- Nie. Ale miałem już dość Honolulu. Nie było powodu, by tam zostać.

Widząc jego wyraz twarzy, spytała:

- Z powodu tego, co stało się tamtego wieczoru, na wernisażu?

- To nie pomogło.

- Przepraszam. Czulałam się niepewnie - powiedziała. - I była ta Annie... -

Z niechęcią to przyznawała, ale taka była prawda.

- To tylko przyjaciółka. Przysięgam.

- Wierzę ci. Problemem nie byłeś ty, lecz ja. Ale teraz... już tak nie jest.

Znów objął ją mocniej, przesunął ręką po jej ramieniu. Jeszcze nie mógł uwierzyć, że ona tu jest. A potem pociągnął ją na kanapę i pocałował. Ally oddała mu pocałunek, chciała o wiele więcej, ale najpierw musiała oczyścić atmosferę, uporać się ze wszystkimi wyjaśnieniami.

Odchyliła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie rozumiałam - powiedziała - czym jest miłość.

- Ja też nie. Albo może rozumiałem i byłem śmiertelnie przestraszony. Ta pierwsza noc...

- Pierwsza noc? Po ślubie?

- Tak. Przyszłaś do mnie i mój świat stanął na głowie. Nie byłem na to gotowy.

- Było cudownie. - Ally pogładziła go po ręce.

Skinął głową.

- Tak. Ale i strasznie. Staralem się, żeby ci było dobrze...

- Było dobrze - powiedziała gorąco.

- Cieszę się. Ale nie chodziło mi tylko o kochanie się. Chodziło mi o... wspólne życie.

- Myślałeś o tym?

Westchnął.

- A jak mógłbym nie myśleć? Ale też jak mogłem ci to zaproponować? Przedtem o tym nie myślałem. Nie byłem gotowy. A ty miałaś swoje plany. Poza tym to byłoby tak, jakbym uwolnił cię z jednej pułapki, by zamknąć w drugiej.

- Och, chciałam tego. Tak bardzo tego chciałam. Ale nie mogłam cię prosić o nic więcej.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę, wspominając przeszłość.

Potem Peter powiedział:

- I chyba dobrze, że wtedy nie zostaliśmy razem. Zepsulibyśmy wszystko.

Ally skinęła głową. Pewnie miał rację. Ale o jedno musiała spytać.

- A gdy pięć lat temu przyjechałam do Honolulu... Wtedy byłeś gotowy?

- Chyba tak. - W zdenerwowaniu przeczesał włosy palcami. - Ale wtedy nie miałem wiele do zaoferowania.

- Dałeś mi wszystko, czego mogłam pragnąć. - Wzięła jego twarz w ręce i pocałowała go. To był długi pocałunek, namiętny, taki, który jeszcze raz uświadomił jej, jak bardzo go kocha, i od jak dawna.

- Kocham cię - szepnęła. - Tak bardzo. Chyba zawsze cię kochałam, ale nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć. Ani jak ci zaufać.

- A teraz mi ufasz. - To było stwierdzenie, lecz Ally usłyszała w jego głosie również pytanie.

- Tak. - Uśmiechnęła się, przypominając sobie ich małżeńskie ślubowanie, i odwróciła tak, by mógł zobaczyć aplikację na jej rękawie.

Przyglądał się dwóm połączonym serduszkom.

- Nosisz swoje serce na rękawie.

- Tak. Zawsze. Dla ciebie. Tylko nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć.

- Po prostu wymów to słowo - powiedział.

Tak więc Ally powtarzała to słowo i powtarzała.

Objęła go za szyję, a on wziął ją na ręce i wniósł do domu.

- Kocham cię. I będę ci to mówiła każdego dnia.

Pokazała mu, jak bardzo go kocha, gdy jeszcze jakiś czas mieszkali na Kauai.

Pokazywała mu to w Honolulu, gdzie zostali przez tydzień z jej ojcem.

Ojciec nabrał nowej chęci życia. Od czasu do czasu robił aluzje do tego, że bardzo chciałby mieć wnuki.

- Ja jestem gotowy - powiedział mu Peter. - Gdy tylko Ally zechce.
- Pracujemy nad tym - zapewniła ojca, rumieniąc się, gdy uśmiechnął się znacząco.

Cieszyła się, że Peter i jej ojciec przypadli sobie do gustu. Ale z zadowoleniem przyjęła też słowa Petera, że musi już wracać do Nowego Jorku.

- Nie chciałbym, by Lukas myślał, że opuściłem go na zawsze.
- Nie mogę się doczekać wyjazdu do domu - odparła Ally.
- Do domu - powtórzył z uśmiechem. - Podoba mi się to, że jedziesz do domu ze mną.

- A mnie się podoba... ja kocham wszystko w tobie - zapewniła go. - I chcę wrócić, żeby obejrzeć fresk.

Teraz byli w domu Petera. W naszym domu, pomyślała Ally z wielką radością. I stała przed freskiem. Patrzyła, patrzyła i nie mogła się napatrzeć.

- Mnie tu nie ma - powiedziała.

Obejrzała wszystkie sceny z plaży. I nie znalazła nikogo, kto by choć trochę ją przypominał. Zidentyfikowała wiele innych osób: surferów, których kiedyś знаła, dawnych przyjaciół. Ale siebie nie widziała.

Nie znalazła też Petera. Nie było go na plaży. Ani w wodzie. Nigdzie go nie było.

Przyjrzała się uważnie barowi Benny'ego, w którym wtedy pracowała. Może to on je hamburgera? Może ona stoi za ladą? Patrzyła na anonimowych przechodniów i ludzi opalających się na brzegu.

- Nas tu nie ma - mruknęła.

Podszedł i stanął obok, obejmując ją.

- Patrzysz w złe miejsce.
- Patrzyłam wszędzie. Na plażę. Na piasek. U Benny'ego. - Ally westchnęła.



- Znajdziesz. Masz na to resztę życia.

Uśmiechnęła się i oparła o niego. Kochała czuć jego silne ramiona wokół siebie. Pocałowała go, a potem znów wróciła spojrzeniem do fresku. Znalazła uniwersytet, sklep dla surferów, w którym Peter pracował, malutki warsztat, gdzie zrobił swoją pierwszą deskę. Pokój nad garażem pani Czang, w którym mieszkał.

- Ach. - Stuknęła palcem w maleńkie namalowane okno. - Tu jesteśmy?

Ugryzł ją leciutko w ucho i roześmiał się.

- To nie jest obraz rentgenowski.

Ale ona czuła się teraz trochę tak, jakby przenikały ją promienie X. Jego ręce wsuwały się pod jej bluzkę, obejmowały piersi. I gdy już miała się poddać i zasugerować, by na razie odpuścili sobie oglądanie fresku i poszli do sypialni, znalazła ich oboje całujących się na schodach sądu.

Patrzyła w zachwycie. Przebiegły ją dreszcze, bo to było tak wyjątkowe, tak ważne wspomnienie. To właśnie sama by wybrała.

- Tak nas pamiętasz? Nie na plaży? Nie u Benny'ego? Pamiętasz, jak się pocałowaliśmy przed sądem?

- A co złego widzisz w gmachu sądu?

- Nic. To po prostu... nie mogę uwierzyć, że właśnie to pamiętasz. - To było jak dar. Największy dar - jego miłość.

- Nie tylko to pamiętam. Ale to wspomnienie jest najsilniejsze - powiedział.

Obrócił ją w ramionach i znów pocałował, i jeszcze raz, i jeszcze. Potem pociągnął ją do sypialni.

- Al, to był początek tego, co chcę pamiętać zawsze. To była chwila, w której zacząłem wierzyć w miłość.